

DUNAJEC

TYGODNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 6 ROK I

Nowy Sącz, 23 listopada 1980

Cena 4 zł



Fot. ST. ŚMIERCIAK

Uczestniczyliśmy w poniedziałkowym posiedzeniu Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Przebieg obrad i decyzje kadrowe znane są już naszym czytelnikom z prasy codziennej. Zamiast protokolarnego zapisu zdarzeń przedstawiamy więc panoramę myśli zawartych w referacie Egzekutywy oraz w głosach dyskutantów.

Referat wygłoszony przez Henryka Kosteckiego powstawał długo: najpierw były tezy poddane pod

Plenum Komitetu Wojewódzkiego PZPR z udziałem zastępcy członka Biura Politycznego KC PZPR ROMANA NEYA ● JÓZEF BROŻEK i MARIAN WASILEWSKI sekretarzami Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Nowym Sączu ● W skład Egzekutywy weszli: ROMAN BOCHENEK — tokarz z „Nowomagu”, SZCZEPAN KALETA — maszynista PKP z Chabówki, ADAM LANGER — ślusarz z „Meblometu” w Mszanie Dolnej, STANISŁAW OPYD — brygadzysta produkcji w NZPS „Podhale” w Nowym Targu, MARIAN PARA — rolnik specjalista z Mochaczki.

Z sali obrad

ocenę aktywu terenowego, później pierwsza redakcja — znów konsultowana z działaczami partyjnymi i wreszcie tekst przedstawiony do zatwierdzenia członkom KW. Czelowano sformułowania, spierano się o oceny, wzbogacano zawartość referatu o nowe wątki. Taka jest cena demokratycznego osiągania wspólnej platformy politycznej.

Zajrzyjmy w rezultaty kolektywnej pracy.

DEFORMACJE W PARTII — nazwane po imieniu na VI Plenum KC, tym razem potraktowano skrótowo: lekceważenie krytycznych głosów aktywu i mas partyjnych przez kierownictwo; uchwały pozostające na papierze; rozbieżność słów i czynów, narastająca niewiara w sens dyskusji; nazbyt szczegółowe ingerowanie w dziedzinę gospodarki; schematyzm i biurokracja

w pracy wewnątrzpartyjnej, uwikłanie aparatu etatowego w wątpliwą wartość analizy, oceny i sprawozdania, teatralna oprawa narad i spotkań; brak czasu na kontakt działaczy z ludźmi pracy, odejście od leninowskich norm życia partyjnego i naruszanie statutu; zaniedbanie kształcenia ideologicznego, kłopotowanie wskaźnikami i instrukcjami rad narodowych; niewłaściwy dobór kadr kierowniczych w gospodarce i życiu społecznym.

PROCES ODNOWY — uznano za nieodwracalny. Musi on objąć wszystkie ogniska demokracji socjalistycznej, całe społeczeństwo i całą partię. Uczymy się wszyscy — a jest to lekcja trudna i gorzka — myśleć i postępować po nowemu. Przewartościowaniu ulegają niektóre pojęcia i oceny. W cenie jest znów intetywa, samodzielność i odwaga podejmowania decyzji bez oczekiwanie na impulsy z góry. Potrzeba więcej bezpośrednich rozmów z ludźmi pracy; mniej uchwał, a więcej konsekwencji w kontrolowaniu ich wykonania. Przy podejmowaniu ważnych problemów regułą winno być przedstawienie pod dyskusję kilku wariantów rozwiązań. Po nowemu spojrzeć należy

na kierowniczą rolę partii; zamiast dyrygowania — demokratyczne oddziaływanie naszych członków, skierowanie do pracy w administracji, gospodarce i organizacjach społecznych.

Ścisłe przestrzeganie Porozumień zawartych na Wybrzeżu i w Jastrzębiu każde traktować odnowiony ruch związkowy jako trwały element socjalistycznej rzeczywistości. Winniśmy dążyć do partnerskiej współpracy z nowymi związkami, stwarzać im warunki współdziałania z administracją państwową i gospodarczą w rozwiązywaniu problemów społeczno-gospodarczych i zawodowych, w wypracowywaniu tego, co wspólnie i sprawiedliwie chcemy dzielić.

ZAUFAŃ I WIARYGODNOŚĆ — poważnie nadszarpnięte popełnionymi błędami i wypaczeniami — trzeba cierpliwie i bez zwłoki odbudowywać. Pierwszym warunkiem jest szybkie oczyszczenie atmosfery politycznej przez wiążące zbadanie i wyjaśnienie wszystkich zarzutów personalnych, postawionych przez zalogi i organizacje partyjne. Odrzucając pomówienia, złożone składowanie ludzi czystych moralnie, broniąc uczciwych — zdecydowanie na-

Bertolt Brecht

Ale kim jest Partia?

Czy zasiada w domu z telefonami?

Czy myśli jej są tajne, a decyzje nieznane?

Kim jest Partia?

My jesteśmy Partią

Ty i ja, i my — wszyscy.

Mieści się ona w twym ubraniu, towarzyszu,

I myśli w twej głowie.

Tam jest jej dom, gdzie ja mieszkam, tam walczysz,

Gdzie atakujesz ciebie.

leży osądzić winnych nadużyć. Równolegle postępować będzie pełne i rzetelne realizowanie zgłoszonych przez ludzi pracy postulatów i wniosków. Od tempa odnowy, od praworządności w rozliczeniu win, od energii we wdrażaniu postulatów społeczeństwa, od właściwej polityki kadrowej i przywrócenia rangi samorządności we wszystkich dziedzinach życia — zależeć będzie postęp w budowaniu zaufania do partii.

SYTUACJA GOSPODARZĄ — niezwykle trudna, budząca powszechny niepokój — była istotnym elementem wybuchu społecznego konfliktu. Powodzenie odnowy też ściśle się z nią wiąże. Partia i rząd intensywnie przygotowują koncepcję gruntownych reform gospodarki. Znane jest już stanowisko wobec problemów rolnictwa i kilka doraźnych posunięć mających złagodzić napięcia rynkowe. Obszerny fragment referatu Egzekutywy KW traktował o zadaniach partii w sprawach gospodarczych. Wróćmy do tego tematu oddzielnie, gdyż wzbudza on szerokie zainteresowanie wszystkich obywateli.

A teraz — również w telegraficznym skrócie — głosy w dyskusji.

Pierwszy zebrał głos Tadeusz Świdrak, I sekretarz KZ w nowosądeckiej DRKP. Zwrócił uwagę na konieczność jak najszybszego rozliczenia kierownictwa partii i rządu z odpowiedzialności za kryzys gospodarczy i polityczny; jeśli to nie nastąpi wkrótce, to członkom partii będzie jeszcze trudniej niż dziś, rozmawiać z zalogami w zakładach partii i jeszcze trudniejsza stanie się sytuacja nawet tych towarzyszy, którzy mają czyste ręce. To my — powiedział — a nie dopiero niezależne związki powinniśmy podejmować decyzje, działać i znosić pokrycie dla naszych słów. Powinniśmy też, nie zlekceważając przygotować programi nadzwyczajnego Zjazdu Partii. Jeżeli zaś chodzi o naszą grupę zawodową, to kolejarze chcieliby się spotkać z uznaniem za wieloletni wysiłek; jednakże nie słyszymy tego od naszego ministra. Stądymy natomiast wyrazić potępienie, gdyż domagamy się poprawy sytuacji bytowej. Brak właściwych słów powoduje wiele zł. Nie dajmy się więc dystansować — dorzuć z pasją — plotkom i obcej młarności; nie bójmy się prawdy, nawet gorzkiej; klasa robotnicza czeka na pełną prawdę.

(CIĄG DAJSZY NA STR. 2)

Z sali obrad

Konieczność szybkiego rozliczenia odpowiedzialnych za zło — podkreślił również Ryszard Dobek z Rafinerii w Gorlicach.

Marek Pulit — I sekretarz KZ PZPR z Sądcekich Zakładów Elektro-Węglowych, poinformował o ilości członków PZPR w zakładzie, którzy zwrócili legitymacje partyjne (37) lub zgłosili, że nie będą płacić składek (18), czym zdemontował plotki o rozpadzie organizacji zakładowej. Dodał jednak, że proces ten nie ulegnie zahamowaniu, jeśli nadal odwołany będzie termin Zjazdu, który powinien być poprzedzony kampanią sprawozdawczo-wyborczą na wszystkich szczeblach.

Jerzy Mardyla wystąpił jako przewodniczący zespołu, powołanego przez Egzekutywę KP dla rozpatrzenia zarzutów wobec kadr kierowniczych województwa. Stwierdził, że nie ma potrzeby dokonywania na Plenum imiennych rozliczeń w żadnej ze 101 rozpatrywanych spraw, ponieważ część ich jest jeszcze w toku badania, zaś już zakończone nie dają potwierdzenia istotnych zarzutów.

Jako kolejny wystąpił Roman Moranda — przewodniczący ZW ZSMP, Poruszył sprawy młodzieży. Podkreślił, że rozbieżność między młodzieżą jest dziś faktem i wskazał, że za główną przyczynę trzeba uznać pełnienie zbyt wielu ról, stworzenie poczucia, że „naszego wspólnego domu nigdy w przeszłości nie można było urządzić bez waśni i ustążeń”. Młodzież chce się liczyć w życiu kraju — dlatego wybiera organizację, która jej stwarza tę szansę.

Wojewoda Antoni Rączka poświęcił swoją wypowiedź zadaniom administracji i sprawom wsi. Za najważniejsze dziś uznał zaopatrzenie, budowę mieszkań i radykalną poprawę stanu służby zdrowia — na wsł zaś „wygranie walki politycznej o przyszły charakter tamtejszego samorządu i uzdrowienie spraw kółek rolniczych”. Stwierdził, że tę walkę musi partia wygrać, bo

inaczej zostanie wyeliminowana z życia wsi.

— Wśród nowych decyzji wciąż zbyt wiele jest nietrafnych, że zbyt wieloma się zuleka — powiedział Mirosław Lebiedziejewski, dyrektor SZEW. — Jako technik nie bardzo na przykład rozumiem, dlaczego nie można opracować sensownego programu wyłączeń energetycznych. Ponadto zastanawiał się czy termin IX Zjazdu należy uzależniać od opracowania pełnego programu przemian gospodarczych.

O Zjeździe i konieczności rozliczenia odpowiedzialnych za kryzys mówił również Jan Koszkuł — I sekretarz KM PZPR w Nowym Sączu. Dodał, że słyszy się wręcz głosy o zdradzie narodowej tych, którzy doprowadzili Polskę do dzisiejszego stanu. Stwierdził, że wielu członków partii postuluje przed Zjazdem dokonanie wyborów: trzeba więc te głosy uwzględnić i jak najszybciej opracować instrukcję wyborczą.

Stefan Gustek — I sekretarz KM PZPR w Zakopanem, omówił ruch protestu robotniczego ostatnich miesięcy i stwierdził, że szczególnie bolesne jest narodzenie się go całkowicie poza partią. W dalszej części wystąpienia sformułował zarzuty wobec środowisk masowego przekazu, które jego zdaniem są dzisiaj do dyspozycji przeciwników politycznych. Po ostrej replice przedstawicieli prasy wyjaśnił, że został źle zrozumiany, ale że niepokoi go zbyt wiele podkreślanie zasług „Solidarności”.

Kazimierz Kotwica, dyrektor „Glinika” mówił, że partia musi dokonać generalnej oceny kadry kierowniczej na wszystkich stanowiskach — bo tylko to jest gwarancją wyjścia z impasu. Podkreślił konieczność pełnej jawności

życia wewnątrzzakładowego i podniesienia rangi mistrzów, którzy decydują o rzetelnej pracy, a znajdujący się w najtrudniejszej sytuacji pośredników między kierownictwem a załogą. — Wszyscy, ja również — powiedział — czekamy na partyjny program odnowy.

Na zakończenie zabrał głos przybyły na Plenum zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR, profesor Roman Ney. Określił przyczyny kryzysu gospodarczego i zadłużenia kraju, a później przeżył kryzys wewnątrz partii, które doprowadziły do jej rozbrojenia politycznego. — Nadal jednak — mówił — tracimy czas. Powinniśmy się zastanowić nad rzeczową działalnością agitacji. Zauważył, że w tej dziedzinie znacznie lepiej umie trafić do ludzi „Solidarności”. — Nie możemy — kontynuował — tolerować złej stanu bezwładu, bojąc się krzywdzić jednostki na szczeblach kierowniczych. Musimy się nauczyć kultury politycznej zmian na stanowiskach, umieć pomóc odejść w sposób godny ludziom, którzy się nie sprawdziли, którzy nie spełniają już swojej roli i stają się bezradni — bo na szali jest interes społeczny. Dziś do wykształconego już narodu polskiego trzeba przemawiać inaczej, niż poprzednio. Roman Ney podkreślił, że odnowie grożą dwa niebezpieczeństwa: elementy antysocjalistyczne oraz stanowiska oportunistyczne w samej partii. Tymczasem trzeba odejść od dogmatycznych poglądów i nawiązać twórcze porozumienie z wszystkimi siłami społecznymi.

Roman Ney zajął się też sprawą podstaw dziennikarzy. Jego zdaniem dziennikarze „są tą grupą ludzi, która najsilniej styląca się z wszystkimi wypa-

ceniami i nieprawidłowościami życia”; stąd szczególnie gorzko daje dziś wyraz swym nagromadzonemu przez lata odczuciom oraz najsilniej wyraża swoje nadzieje.

— Odwyzdaliśmy się od tego typu postaw w środkach masowego przekazu, ale to one są częstokroć najbardziej słuszne i konstruktywne.

Odnowa staje się coraz szersza. — Cieszymy się z tego — zakończył Roman Ney — i choć nie jest nam lekko, musimy przyjąć na siebie odpowiedzialność za tę odnowę, bo taki jest sens mandatu partyjnego.

Komitet Wojewódzki rozszerzony został o nowych członków: Romana Dudka — kierownik WPGT z Limanowej, Stanisława Igielskiego — stolara „Stolbudu” z Grybowa, Józefa Kruczkę — rolnika specjalistę z Cieniawy, Bolesława Lewińskiego — operatora instalacji RPKG w Gorlicach, Romana Oleśnika — ślusarza remontowego kopalni w Kłęczanach i Józefa Stokłosa — ślusarza brygadzystę KZM w Jordanowie.

Na nowych zastępców członków KW powołano: Edwarda Kiełara — ślusarza ZBK w Zakopanem, Franciszka Mentla — ślusarza PZPOW w Nowym Sączu, Henryka Szczepaniaka — konduktora PKS z Nowego Sącza, Stanisława Wojszaka — elektryka RPKG w Nowym Targu i Bronisława Wójcika — brygadzystę przyszkolonych ZRB w Rabce.

Nowi członkowie Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej: Czesław Koziański — brygadzysta zmienny KFP w Limanowej, Kazimierz Maciasz — technik elektryk z SZEW w Nowym Sączu, Tadeusz Obrzut — mistrz produkcji w ZSNS w Nowym Sączu, Zenon Rawicz — elektryk z NKB w Nowym Sączu, Henryk Tarasek — elektromonter z „Nowomagu” i Mieczysław Wilczkiewicz — technik mechanik z „Glinika”.

Listy do redakcji

JAK DZIELIĆ MIĘSO?

Chciałbym odpowiedzieć na „Wasz apel o wypowiedzi w sprawie podziału mięsa. Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, nie wiem też za wiele o tym, jak szybko i o ile możemy poprawić sytuację na rynku. Ale pamiętam, że jeszcze przed kilkoma laty i ja sam, i moi sąsiedzi chowaliśmy przy domu lub na działkach świnię, kury — nawet w mieście. To pomagało nam w prowadzeniu domowego gospodarstwa, w utrzymaniu rodziny, no i odcinało handel państwowi.

Dzisiaj nawet na wsi nie każdy gospodarz hoduje prosiaki czy krowę. Wszystko kupuje w sklepie, chociaż jedną krowę czy świnię można bez problemu wykarmić tym, co zostaje w garnkach po ludziach i tym, co rośnie w przydrożnych rowach i w miedzach.

Druga sprawa. Mamy mało mięsa, więc dlaczego tak marujemy to, co jest? Tak, marujemy! Spójrzcie na kiełbasy — zanim doniesie je człowiek ze sklepu do domu, już zielenieją. Ile w nich wody, jakie niesmaczne. Wolalibyśmy kupić dziesięć deko porządnej kiełbasy z mięsa niż pół kilo tego świństwa, z którego często nie zjem nawet jednej dziesiątej! Tylko robaki mają z tego pożytek — ludzie nie.

PAWEŁ RZEPKA
Nowy Sącz

GDZIE JEST CHLEB?

Pozwólcie, że podzielę się z Wami swym niepokojem o coraz gorsze zaopatrzenie sklepów spożywczych w moim mieście. Nie będę pisać o mięsie, bo jest to temat powszechnie znany i sytuacja Nowego Targu nie jest wyjątkowa. Nie chcę nawet napisać o tym, że coraz trudniej kupić również masło, śmietanę, cukier, dżem, niektóre gatunki kasz. Półki sklepowe uginają się, owszem — ale od... herbat i alkoholu! Butelki lśnią zachęcająco, a do tego akurat towaru zachęcać nikogo nie należy.

Niepokoi mnie i innych mieszkańców Nowego Targu to, że od pewnego czasu wiele kłopotów sprawia kupno pieczywa. Jego jakość od dawna pozostawia wiele do życzenia, ale teraz go w ogóle brakuje. Około dziesiątej rano w całym mieście nie można dostać bochenka chleba. Kolejki przed piekarniami ustają już się już o czwartej rano!

Nie wiem, czy tak jest wszędzie? A może jest to wina wyłącznie nowotarskich handlowców?

ANNA PAWLIK
Nowy Targ

PROPONUJE „KĄCIK EKONOMISTY”

Zgłaszam propozycję drukowania na łamach „Dunajca” rozważań na tematy ekonomiczne. Krótkie (prawie encyklopedyczne) artykuły, w sposób przystępny informowałyby Czytelników o podstawowych pojęciach, prawach i kategoriach ekonomicznych, zasadach racjonalnego gospodarowania, powstawaniu, tworzeniu i podziale dochodu narodowego.

W dalszych rozważaniach należałoby zająć się sprawami naszego regionu, jego osiągnięciami, jak również niedociągnięciami w pracy przemysłu, budownictwa, rolnictwa, leśnictwa, transportu i łączności oraz handlu, tj. tych gałęzi gospodarki narodowej, gdzie wytwarzany jest dochód narodowy.

Właściwą uwagę należałoby również poświęcić takim dziedzinom naszego życia jak usługi, gospodarka komunalna i mieszkaniowa.

Sądzę, że tego rodzaju doinformowanie społeczeństwa — pozwoliłoby zapoznać mieszkańców naszego województwa z bezwzględnie prawami rządzącymi życiem społeczno-gospodarczym.

Mgr JANUSZ OLEŚIAK
Nowy Sącz

POSTULATY ZAŁÓG

W związku z artykułem „Postulaty załóg”, który ukazał się w „Dunajcu” z dnia 26 października 1980 r., szczególnie jego fragmentem dotyczącym budowy „opodal Rabki” uprzejmie informujemy, że kierownik budowy został pozbawiony premii za 3 kwartał 1980 r.

za brak dostatecznego nadzoru nad prowadzonymi robotami. Jest to budowa zajazdu turystycznego w Rdzawce, prowadzona przez Zakład Budownictwa Turystycznego w Nowym Sączu.

Mgr inż. JAN TOKARCZYK
dyrektor

JAK SPRAWIEDLIWIE DZIELIĆ MIĘSO?

Powołując się na artykuł Tomasza Walatę „Jak dzielić mięso”, chciałbym dołączyć kilka swoich uwag na ten temat.

Chcąc sprawiedliwie podzielić pulę mięsa, trzeba koniecznie dokonać bilansu zasobów mięsnych podlegających reglamentacji.

Sprawa z kartkami na mięso byłaby zupełnie prosta, gdyby nie było u nas zjawiska zbiorowego, które obecnie obejmuje ok. 30 proc. mieszkańców kraju. Musimy też iść o mięso, który mamy tak podzielić, by uniknąć kolejek i aby sprawiedliwy był to podział.

Sądzę, że trzeba wprowadzić ilościowe kartki na mięso w kilogramach (na tydzień), oddzielnie na przetwory mięsne (kiełbasy, szynka) oraz tłuszcz.

Każdy otrzymałby w zakładzie pracy czy administracji budynku ilościowe kupony np. na tydzień: 1/4 kg mięsa, 1/4 kg kiełbasy czy szynki i 1/4 kg tłuszczu. Korzystając ze stołówek lub musieliby oddać kartki mięsne i część tłuszczowych do stołówek zakładowych, szkolnych, internatów, domów studenckich, restauracji czy barów. Bony takie winny być ostatecznie przez zakłady żywienia i zarejestrowane w miejscach odbioru mięsa.

Domy wczasowe, sanatoria, kolonie, obozy, obozy treningowe też odbierałyby kartki na mięso, tłuszcz czy nawet przetwory mięsne.

Wszyscy otrzymujący kartki czy bony mięsne rejestrowaliby je w odpowiednim sklepie mięsnym, który by wyznaczał dzień wydawania towaru.

Reglamentacji nie powinny podlegać: ryby, kurczaki, kaszanka, nerki, parówki, wiatrówka, kości itp. produkty garmażeryjne można by kupować w sklepach spożywczych i barach — jak dotychczas.

Sądzę, że można te sprawy załatwić tak, by wszyscy byli zadowoleni.

TADEUSZ KRAWCZYK
Nowy Sącz, Rejtana 14

POTRZEBNA POMOC

W nawiązaniu do artykułu „Dunajek sądecki „Solidarności” (w opracowa-

niu Antoniego Kroha, w numerze 2 „Dunajca”) uważam za stosowne wyjaśnić: alkoholik i pijak to dwa całkowicie różne pojęcia. Pijak to ktoś kto nie musi pić, a pije, by „podnieść” swój autorytet czy „zaznaczyć osobowość”. Alkoholik natomiast nie chce pić, lecz zmusza go do tego głód alkoholu. Jest to człowiek cierpiący na chorobę „zespołu zależności alkoholowej”, jak to jest określane w oficjalnym nomenclaturze przyjętym przez służbę zdrowia.

Jako abstynent, znający sprawę alkoholizmu nie tylko z teorii, ale i z praktyki, nie mogę zgodzić się z wypowiedzią przedstawicieli NSZZ „Solidarność” pana Jareckiego i pana Gwizda że „...alkoholik nie może należeć do związku...” oraz że „...z tym zwalczaniem alkoholizmu to jest cienkawa sprawa...”

Alkoholizm należy leczyć, a pijaństwo zwalczać. Aby jednak leczyć i pomagać tym ludziom i ich rodzinom, nie wolno ich pozostawiać samym sobie. Alkoholikami nikt się nie rodzi. Jaka gwarancja ma pan Jarecki — nie wątpię, że dziś prawie człowiek — iż w przyszłości nie będzie alkoholikiem: a wątpię, aby wówczas związek „Solidarność” udzielił mu pomocy, jeżeli nie będzie jego członkiem.

Przypuszczam, że choć te pomoc zadeklarowali obaj ci panowie dlatego tak się wypowiadali, ponieważ nie znają tych problemów. Wydaje mi się jednak, że zabierając głos na te tematy, wcześniej powinni skorzystać z porad ludzi, którzy tym problemem na terenie Sądeckich zajmują się od przeszło 30 lat.

Uważam za słuszne i mądre posunięcie umieszczenie problemu alkoholizmu w pkt 7 paragrafu 7 statutu NSZZ „Solidarność”. Aby jednak nie pozostało tylko litera, a sprawdziło się w działaniu uważam za celowe i konieczne nawiązanie współpracy pomiędzy NSZZ „Solidarność”, a klubem abstynentów alkoholowych „Zdrowie” w Nowym Sączu, plac 3-go Maja 1, przy współudziale redakcji tygodnika „Dunajec”. Jestem przekonany, że zapoznanie szerokiego ogółu społeczeństwa z ujemnymi skutkami pijaństwa i alkoholizmu przyczyni się do złagodzenia tego problemu, tym bardziej, że ostatnio modne staje się załatwianie wszelkich spraw przy alkoholu, co powoduje szerzenie się pijaństwa i alkoholizmu.

MARIAN LUDROWSKI

Prezes klubu AA „Zdrowie”
Nowy Sącz, Plac 3-go Maja 1
tel.: 225-48

WSPÓLNIE

Pierwsze spotkanie z naczelnikami gmin — w czwartek 8 listopada — zakończył nowy wojewoda słowami prostymi i bezpośrednimi: *chodzi o to, aby tworzyć jednolitą rodzinę, która będzie sobie ufać i wspólnie ciągnąć wóz do przodu*. Nie tylko te słowa, które zdają się dobrze oddawać osobowość i program działania Antoniego Rączki — ale także całe końcowe wystąpienie oraz wstęp do dyskusji wskazują, że na stanowisko szefa administracji powołany został człowiek, który zna region i który rozumie potrzebę działania rzeczowego, szybkiego i zdecentralizowanego. Zbyt wcześnie to oceniać? Za przedko to robię? Uważam, że nie. Nie nie jest dziś bardziej konieczne, niż szybkość ocen. Ich weryfikacji będziemy dokonywać w biegu, ale już teraz trzeba widzieć i mówić, w którym miejscu się znajdujemy.

Narada trwała — z przerwami — pięć godzin. Stawili się wszyscy naczelnicy 14 miast i urzędów miejsko-gminnych oraz 29 naczelników gmin (zabrakło tylko dwóch: z Łapsz Niżnych i Ochotnicy Dolnej). Charakter spotkania został jasno określony na wstępie przez wojewodę: przedstawiciele administracji podstawowej mieli mu powiedzieć, co konieczne, aby poprawić kryzysowy stan życia gospodarczego i politycznego. Szczególnie chodziło o informacje o rolnictwie: co zrobić, aby wobec fatalnej sytuacji paszowej nie dopuścić do załamania produkcji zwierzęcej — z podkreśleniem, że najpierwszym zadaniem jest ochrona stanu stada podstawowego; jak wieś odnosi się do stanowiska NK ZSL i Biura Politycznego; jak wygląda proces odradzania samorządu wiejskiego; jak rozwiązać kłopoty rynkowe w towarach masowych; jak można dać wszystkim tzw. węgiel bytowy i zapewnić opał dla niezbędnych ośrodków działalności publicznej; jak polepszyć współdziałanie Urzędu Wojewódzkiego i gmin; jakie uprawnienia przekazać gminom bezpośrednio; wreszcie — jak wygląda praca szkół gminnych i dowożenie do nich dzieci.



Już ze wstępnego wystąpienia Antoniego Rączki wynikało, że otwiera się droga do nowego sposobu działania władzy wykonawczej. O dodatkowy akcent postarała się mimowolnie służba organizacyjna: odświeżono lakierem boazerie wokół sali narad, mównicę i stół prezydencki — na i nie wyszło na czas. Po godzinie wojewoda się przykleił. Zauważył dowcipnie, że nie da się przymocować do biurka.

Gorzej, że przyklejał się również do mównicy — ale już w sensie przenośnym — kolejni naczelnicy. I wcale nie było mi do śmiechu, kiedy to spostrzegłem. Na ogólną liczbę trzydziestorga zających głos przekonało mnie

w pełni tylko czworo; pozostali, niestety, krzewili stary styl referatowo-lamentująco-sprawozdawczy lub — w najlepszym wypadku — skupiali się na pojedynczych zagadnieniach bez prób syntezy i oddania nastrojów swego rejonu. Prawie nikt nie odpowiedział na zadane przez wojewodę pytania. Dominowało wycofywanie na działania od góry. W dodatku nie utrzymywano się — w sposób rażący — w dyscyplinie czasowej: od momentu, gdy Antoni Rączka zastrzegł ograniczenie wystąpień do pięciu minut, kolejnym dyskusantom mówiło się, jak następuje: Marianowi Cyconowi z Piwnicznej — minut siedem (zapowiedział, że zmieści się w dwóch); Wiesławowi Oleksmu z Nowego Sącza — dwie minuty; Stanisławowi Sobczakowi z gminy Gorlice — siedemnaście; Andrzejowi Hadowskiemu z Nowego Targu — szesnaście, wreszcie dyrektorowi Wydziału Finansowego Urzędu Wojewódzkiego, Władysławowi Gawłowskiemu — dwadzieścia. Wojewoda przyjmował to wszystko z anielskim spokojem. Dobrze czy niedobrze? Dobrze, jeśli ten jeden raz i jeśli znaczyło to, że nie będzie się gorączkował przy ponaganiu ludzi, z którymi ma wspólnie działać. Niedobrze — jeśli nie zmieni się sprawność i rzeczowość naczelników, którzy mają być najmocniejszym ogniwem porozumienia społeczeństwa z władzą.

Ci, którzy przekonali mnie — obserwatora z boku — wystąpili głównie po przerwie. Przede wszystkim Danuta Tarsa z Łużnej, protekcyjnie przyjmowana przez salę, jak gdyby dystansując się od ognia i energii młodej i stażem, i wiekiem gospodni swojej gminy. A tymczasem też właśnie cechy brakowało innym — i w tym właśnie glosie zawarte było najwięcej treści, ogarnienia ogółu spraw, jasnego widzenia napiętej sytuacji. Danuta Tarsa powiedziała wyraźnie, że na wszystkich wiejskich zebraniach głośno potrzebę rozliczenia administracji centralnej za stan, w jakim znalazło się państwo — bo jeśli skończy się na szumie w pra-

przykład ignorowania władzy gminnej przez innych zarządzających: mleczażnia nawet nie raczyła powiadomić o — nie szkodzi, że uzasadnionej — likwidacji zlewni mleka, co spowodowało we wsiach wybuch niezadowolenia. Poinformowała wreszcie o budowie ośrodka zdrowia, która utknęła w martwym punkcie, a której tak niewiele potrzeba do ukończenia — i o dewastacji dróg lokalnych, na którą zupełnie nie reaguje Rejon w Gorlicach.

Krótko a konkretnie mówił Stanisław Poczynek z Tymbarku. Zaczął wprowadzić od statystyki, o którą na tej sali nie chodziło, lecz potem postulował konkretne usprawnienia administracyjne we weryfikacji danych o rolnikach dla potrzeb Banku Spółdzielczego, ocenę stan dróg, wskazał na niebezpieczeństwo załamania się idei szkół zbiorczych z powodu trudności w dowożeniu dzieci i zaproponował utworzenie gminnych ośrodków postępu rolniczego — jako że za konieczne uważa oddzielenie służb rolnych od władz gminnych.

Andrzej Hadowski z Nowego Targu dał kilka jednostkowych, ale przecież skutecznych i rzeczowych przykładów działania w trudnej sytuacji rynkowej:



ograniczenia w ilości zakupywanych towarów, zasada sprzedaży białych po oddaniu złomu, organizacja opalu drewnem. Sprzeciwili się wikłaniu ludzi z czołowych stanowisk aparatu administracyjnego w sprawy mniej istotne, postulowali stabilność struktury tego aparatu (myślę, że słusznie — tylko, że najpierw trzeba uczciwie i jasno określić, kto gdzie jest potrzebny). Zgłosił propozycję wprowadzenia kontraktacji owiec i skupu przede wszystkim całych sztuk, a nie tylko wełny i skór. Potrafił ponadto prosto przedstawić węzłowe sprawy miasta w zakresie budownictwa i gospodarki komunalnej.

Z występujących przed przerwą dał się poznać z dobrej strony Zbigniew Szewczyk z Korzennej. Mówił spokojnie, z namysłem, dobitnie; wiedział, jak nawiązać kontakt ze słuchającymi. I mówił konkretnie. O problemie utrzymania stada podstawowego maćior w jego gminie, która jest bazą dla innych; o spadku pogłowia kur i wnioskach co do jakości tegorocznych kurczą; o skupie jaj i powodach, dla których hodowcy ich nie sprzedają; o swoich sześćdziesięciu podopiecznych, starych ludziach potrzebujących pomocy; o opale. Naczelnik z Korzennej apelował też o powrót do wypięku chleba wiejskiego, zaproponował powołanie w każdej gminie lub na każdą parę gmin Zakładu Gospodarki Komunalnej — bowiem dziś, kiedy Rejonowe Przedsiębiorstwa zostały podporządkowane zjednoczeniu, na wsi nie ma kto budować ani dróg, ani obiektów użytkowości publicznej. A miał to kto mówić: Korzenna użytkuje na urząd gminy najgorszy lokal w województwie, nie ma nawet na miejscu szkoły zbiorczej, nie ma ośrodka zdrowia. Zbigniew Szewczyk wie, jak wygląda sprawa inwestycji — przedstawił jednak racje Korzennej spokojnie i z użyciem właściwych argumentów.

Innym wykładanie swoich spraw i oceny sytuacji szło znacznie gorzej,

Były popisy oratorskie z finiszowaniem jak na wiecu (Stanisław Sobczak z gmin; Gorlice), było dukanie referatu (Edward Wnękowicz z Łukowicy), było ospałe odczytywanie — przez 21 minut — tekstu, z którego dało się wycisnąć niewiele twórczego (Władysław Karpierz z Łosinicy Dolnej). Przepszałam za ton oceny, ale taka jest prawda. Mamy czas burzy i nie wolno ani głądzić, ani snuć litanii utyskiwań i drobnych kłopotów (nie spodziewałem się tego po Janie Kubowicz z Limanowej — ale niestety, do tego się sprowadzało jego wystąpienie), ani też ograniczać się do mikrospawozdawczości, jak zrobił Henryk Trunow z Zakopanego, skądinąd narzekający właśnie na jej papierkowy nadmiar. Trzeba widzieć całość, widzieć co ważne, widzieć konflikty grożące wybuchem, widzieć drogi naprawy — szczególnie tego, co najpilniejsze. Dobrze, gdy naczelnicy gmin, jak Marian Cycon i miast, jak Henryk Basista z Gorlic czy Wiesław Oleksy z Nowego Sącza, doceniają sprawy polityki mieszkaniowej i wskazują na jej najbardziej nabrzmiałe problemy (trochę im zapewne pomogła poświęcona tym kwestiom dyskusja telewizyjna z poprzedniego dnia) — gorzej, gdy nie widzą

innych spraw generalnych; gdy nie reagują na słowo „kryzys”, które padło na początku.

W rezultacie, po wysłuchaniu chętnych do mówienia, wojewoda wrócił sam do tego słowa i sam objaśnił, co dla niego ono zawiera. Była mowa o konieczności przerzucenia mostu między Partią i „Solidarnością”. Była mowa o tym, co może to działanie zasadniczo utrudnić.

Potem zaś Antoni Rączka w półgodzinnym podsumowaniu przypomniał najważniejsze: że w zaopatrzeniu trzeba działać drastycznie, ale sprawiedliwie — i podkreślił, że jest tu potrzebna ogromna mądrość; że w skupie ziemniaków nie można liczyć na inne województwa i naczelnicy muszą to, co konieczne, skupić nawet w drobnych — dwudziesto- czy trzydziestokilogramowych dostawach — na swoich terenach; że trzeba sporządzić plany rozdziału węgla dla poszczególnych obiektów i mieć kilka wariantów ich wyłączenia z ruchu w zależności od sytuacji. Ostre słowa usłyszeł zwierzchnik Wojewódzkiego Zarządu Budowy Miast i Osiedli: mają w najbliższym czasie przedstawić plan działania dla naczelników; z ramienia Urzędu Wojewódzkiego decyzje w sprawie budownictwa komunalnego dla gmin ma podjąć wicewojewoda Edward Ligęza. Wspomniana wreszcie została sprawa przestępstw administracji turystycznej, która zżera wypracowane fundusze — i sprawa służby zdrowia, której trzeba koniecznie poświęcić szczególną uwagę. Trzeba działać skutecznie.

Słowa słuszne. Ale ważniejsza jest rzeczowa praca.

Chciałbym wierzyć, że wojewoda został w ten czwartek zrozumiany. Że wszyscy zastanowili się, co to znaczy: myśleć i działać wspólnie.

Powinno napisać tak: za siedmioma górami, za siedmioma rzekami — czyli w przysiółku Kamyczko położonym nad Sidziną — na obrzeżu województwa, wśród pięknego krajobrazu — żyją ludzie pozbawieni dobrodziejstw cywilizacji. Nie rozbiło tu jeszcze światła elektryczne, nie ma telewizorów, lodówek, pralek. Dzieci odrabiają lekcje przy lampie naftowej lub świecy.

Mógłbym dodać, że po niebie latają satelity, a w gminie Jordanów warunki egzystencji — wciąż jeszcze z epoki króla Cieciszka.

Tak to sobie wyobrażałam po reportażu krakowskiej telewizji, który zbliwersował wrażliwych ludzi w regionie i sprowadził do naszej redakcji już najzajrzej specjalistów od elektryfikacji z Wojewódzkiego Zarządu Inwestycji Rolniczych.

Przysłał zaproponować wspólną wyprawę do Sidziny. Ofertę przyjęliśmy z ochotą, bo niewiele przedsiębiorstw ma ambicję publicznego wyjaśniania zarzutów kierowanych pod ich adresem. Na ogół krytykowani nabierają wody w usta lub zweekają z odpowiedzialnością, co widać choćby po lekturze pięciu pierwszych numerów „Dunajca”.

Samochodem terenowym pojechaliśmy śladem skargi mieszkańców nieznanego mi przysiółka i śladem telewizyjnej interwencji. Już w drodze inspektor kontroli technicznej WZIR, Kazimierz Witecki, próbował mi to owo mi wyjaśnić:

— Trudno powiedzieć, ile jest w tej chwili rodzin w naszym województwie żyjących jeszcze bez światła. Nie wiem, czy ktoś to policzył... Może do dokładne dane ma Zakład Energetyczny? Na pewno nie ma wsi nieelektryfikowanych. Jest natomiast wiele wymagających modernizacji. Ustawa z 1956 roku określa dokładnie warunki, jakie muszą być spełnione, by energia mogła być dostarczona odbiorcom indywidualnym. Decydują o tym w pierwszym rzędzie względy techniczno-ekonomiczne. Na przykład odległość od transformatora nie powinna przekraczać 1200 metrów. Nie bez znaczenia jest koszt inwestycji. Zgodnie z przepisem elektryfikujemy na nasz koszt zabudowania pierwsze (znaczy to, że jeśli obok starego budynku gospodarz postawił nowy dom, on doprowadza energię na swój koszt). Nie elektryfikujemy również budynków nierolniczych (np. gdy ktoś spoza województwa kupił sobie w nas dom letniskowy).

Jeśli chodzi o gospodarstwa rolne we wsiach, w których jest już od dawna doprowadzona energia, a z jakichś

Beata Dembowska

Gdzie diabeł mówi dobranoc...

powodów w określonym domu brak prądu, to bierzemy pod uwagę wielkość gospodarstwa, przychodowość, stan rodzinny, to znaczy, czy są dzieci, które pozostaną w tym gospodarstwie.

Po zgłoszeniu przez rolnika zapotrzebowania na doprowadzenie energii do danego gospodarstwa projektant z Przedsiębiorstwa Elektryfikacji i Technicznej Obsługi Rolnictwa w Krakowie, które jest wykonawcą, sporządza projekt i oblicza koszt inwestycji. Okres oczekiwania bywa długi, decyduje kolejność zgłoszeń, ale uwzględnia się i inne okoliczności: wcześniejsze plany i oczywiście możliwości przedsiębiorstwa. A może przerobowe nie są zbyt duże, bo ELTOR wykonuje usługi dla województw krakowskiego, tarnowskiego, nowosądeckiego, bielsko-bialskiego, opolskiego i bądaje jeszcze innych.

— Nasza instytucja, WZIR, zabezpiecza środki finansowe, przyjmuje interwencje i sprawuje nadzór techniczny. W tym roku dysponowaliśmy 32 milionami. W 1981 roku będziemy mieli też tyle. Razem z Zakładem Energetycznym, który również finansuje elektryfikację wsi, mieliśmy około 50 milionów. Przydałoby się więcej. Ale to jeszcze nie wszystko, gdyż wykonawca nie podoba... Równolegle trzeba zwiększyć potencjał Eltora.

Dotarliśmy do Sidziny. Pytając o drogę do przysiółka spotkaliśmy panią Małysową, która mieszka właśnie w Kamyczku. Jedziemy przez dużą wieś, tu wszędzie widać linie niskiego napięcia, a więc energia jest. Mijamy stację transformatorową, wjeżdżamy w las i sprawdzamy na liczniku odległość od stacji do zabudowań — ponad dwa kilometry... W przysiółku cztery domy i zabudowania gospodarcze. Za górką jeszcze jeden dom i leśniczówka.

Żeby doprowadzić światło konieczne jest wybudowanie tu na górze transformatora, doprowadzenie linii wysokiego i niskiego napięcia oraz wykonanie w poszczególnych domach instalacji elektrycznych.

— Z moich pobieżnych obliczeń — mówi Kazimierz Witecki — zanosi się na koszt sięgający miliona złotych. Za te pieniądze można przeprowadzić mo-

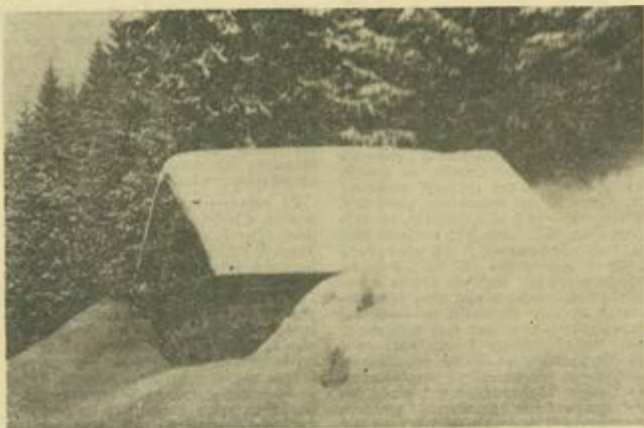
dernizację całej wsi. Chciałbym, żebyście mieli tu światło, tu i w innych odległych przysiółkach. Nie mogę Wam jednak tego obiecać — jeszcze nie stać nas na takie inwestycje, gdy tyle mamy do zmodernizowania. Po dokładnym zbadaniu sprawy przez projektanta ELTOR-u, gdy np. okaże się, że wystarczy na elektryfikowanie Wasych domów, powiedzmy, 500 tysięcy, moglibyśmy przystąpić do roboty w 1983 r. W zasadzie tego typu osiedla są skazane na śmierć techniczną. Pomyslicie: — zrobimy światło za milion złotych dla czterech budynków, a za kilka lat przestanie się na dół!

— Nie, nie chcemy się przenościć — mówi pani Małysowa. — Tu mieszka mój od dziecka, tu chcemy zostać. We usi brakuje już miejsca, a tu u nas cicho i spokojnie, żyjemy jak rodzina, nie ma piątków. Wyjdzie się z domu i już grzyby dookola, i jagody. Tylko gdy przyjdzie jesień i zima, to dzieci i młodzie wychodzą z domu po ciemku, a wracają o zmroku. A czasem

chciałoby się popogłądać program telewizyjny. Ileż dzieci dowiedziałoby się o świecie. Nie możemy również podjąć żadnej pracy chałupniczej, bo jak ją wykonywać przy świetle? W dodatku brakuje nafty i świec! Oświetlamy domy ropą, która śmierdzi. Czy dla nas nie ma już żadnej nadziei? Od dziesięciu lat piszemy, prosimy i wciąż nic...

Nie mam dobrej wiadomości dla mieszkańców Kamyczka. Inspektor Witecki twierdzi nie bez podstaw, że pół miliona tutaj nie wystarczy. I dodaje: — Gdyby to były większe gospodarstwa, o znacznej dochodowości... Ale proszę spojrzeć: 1,17 ha, 1,66 ha, 3,46, 5,36... Roczny dochód od półtora do sześciu tysięcy złotych.

Jak to jednak wytłumaczyć zainteresowanym? Jak ich przekonać, że państwa jeszcze nie stać na taki wydatek, że są granice inwestowania...



Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

11 października br. odbyła się w Jablonce Orawskiej konferencja na temat Orawy i problemów jej rozwoju, zorganizowana przez Podhalańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Nowym Targu przy współudziale Urzędu Gminy w Jablonce. Pragnę się podzielić z Czytelnikami kilkoma refleksjami, zwłaszcza z dyskusji, która, mimo słabej frekwencji rolników, była wyjątkowo żywa.

Jednym z źródeł ożywienia chłopskich dyskusji jest to, że nauka i przemysł nie zbliżyły się jeszcze do rzeczywistych problemów rolnictwa, mimo iż o tej konieczności mówi się już dobrych kilka lat. Jest to wciąż działanie niewystarczające, słabo przemysłowe, a niekiedy nawet błędne. Krótko mówiąc, wygląda tak, jakbyśmy chcieli chwycić pstrąga za ogon. Tymczasem, jeśli chwyt ma być skuteczny, musi być inny. Nasze rolnictwo potrzebuje kompleksowych rozwiązań, a nie cząstkowych, doraźnych wsparć. Jak mówić o prowadzeniu gospodarstwa rentownego, jak mówić o elektrycznym pastersztwie, suszarniach siana, wysoko wydajnym sprzęcie, kiedy w większości wsi na Orawie (oprócz Jablonki ostatnio scalonej) chłop posiada hektar pola w kilkudziesięciu kawałkach, niekiedy zagony o metrowej szerokości albo 10-metrowej długości; kiedy chłop nie może dostać niezbędnych materiałów budowlanych czy maszyn rolniczych. Toteż kiedy powiedziałem w dyskusji, że przed orawskim rolnictwem nie ma innej drogi niż scalenie gruntów lub ich współdzielnicze, nieliczni na sali chłopcy poparli mnie burzą oklasków. Pojawili się też głosy, czy nie należałoby w inwestycjach rolniczych dać priorytetu scalaniu (lub współdzielni) gruntów, nawet kosztem przeprowadzanych ostatnio masowo melioracji, które w terenach górskich nie są znowu tak

Andrzej Jazowski

Łapanie pstrąga za ogon

bardzo palące. Od scalania należałoby zacząć modernizację, jeżeli ma ona przynieść obopólne korzyści: rolnikowi i państwu. Bo jak produkować dobre i tanie maszyny rolnicze, jeżeli się nie wie, czy mają służyć uprawie grządek, czy gruntów? Jak stosować nowoczesny sprzęt i rentownie gospodarzyć na tak bardzo rozdrobnionym polu?

Inne sprawy poruszane w dyskusji są typowe dla każdej polskiej wsi. Interesowano się np. pracą miejscowej Spółdzielni Kółek Rolniczych. Gospodarzami tej instytucji mieli być chłopcy i miała ona służyć wsi, być inspiratorem nowoczesności w rolnictwie. Tymczasem od tego założenia oddalała się ona coraz bardziej. Chłopi pozostali tylko czekaniem godzinami na usługi. Słyszysz się także ogólne narzekanie na brak odpowiedniego sprzętu i części zamiennych.

W tej sytuacji miejscowi chłopcy radzą sobie jak mogą; jedni sprzedają starszy sprzęt z Czechosłowacji, inni produkują go w sposób chałupniczy. Pomysłowość w tym względzie jest zadziwiająca, mógłby jej pozazdrościć niejeden inżynier i producent. Spotyka się własne roboty, traktory, wozy, kosiarke, komarki, widzi się w stodółkach dmuchawy i inny sprzęt, którego nabyć nie można normalną drogą.

I tu znowu padło pytanie: dlaczego tą samorodną chłopską wytwórczością maszyn rolniczych nie zainteresować się żaden z producentów?

W referatach i w dyskusji poru-

szono także sprawy oświaty i infrastruktury rolniczej. Pytano o właściwą funkcję agronomów wiejskich. Dawniej z agronomami wiązano podobne nadzieje, jak z kółkami rolniczymi. Tymczasem pracę ich sprawdzono do czynności przede wszystkim administracyjnych. Dlatego padł w dyskusji postulat, ażeby w gminach posiadających państwowy fundusz ziemi organizować gospodarstwa wzorowe właśnie pod opieką miejscowych agronomów i — gdyby się udało — przy doradczym pomocy pracowników naukowych wyższych uczelni. W takim wzorowym gospodarstwie mogłoby nabywać wiedzę i doświadczenie nie tylko miejscowi rolnicy, ale także uczniowie szkół rolniczych. Przyniosłoby to duże korzyści, przyczyniłoby się do podniesienia wiedzy rolniczej dostosowanej do specyfiki danego regionu.

Mówiono też sporo o braku materiałów budowlanych, węgla i traceniu cennego czasu w urzędach. Bolączki te znane są w całym kraju i dlatego nie będę tu o nich mówił. Chciałbym natomiast zatrzęść się nad kwestią ochrony przyrody.

Dyskusję w tym punkcie zainicjował przedstawiciel Związku Podhalań w Nowym Targu. Stwierdził, że przyroda tatrzańska zmienia się w przerażający sposób: niektóre rośliny i drzewa zniknęły całkowicie, inne są już na wymarcu, i to nawet na terenach zajętych pod Park Narodowy. Zakładanie nowych parków w rejonie Tatr wydaje się nie mieć

większego sensu, pozbawiamy bowiem góry naturalnego elementu ich kraju, jakim od wieków było pastersztwo.

Przeciwko tej tezie wystąpił z ostrą repliką przedstawiciel krakowskiego świata naukowego, który zajmuje się badaniem flory południowej Polski. To, co mówił, reprezentant Związku Podhalań, wyraźnie nie trafiło do jego przekonania. Tymczasem głos Podhalańszczyzny poparli inni dyskutanci.

Fowolałem się tu na to, co sam zaobserwowałem. Otóż jako mały chłopiec pasalem w lesie stado owców — jałowic i owiec, zbierałem mech i posycałem leśne na ściółce. Czynilem więc rzeczy z pozoru szkodliwe dla lasu. Dzisiaj nie pasie się bydła w lesie, bo się to nie opłaca, nie zbiera się ściółki, bo chłop ma dość słomy, a mimo to las wcale nie jest piękniejszy ani bogatszy w roślinność od tego, jaki poznałem w dzieciństwie. Nie widzę wielu roślin, coraz mniej jest też mchu i grzybow. Coś niedobrego dzieje się również z miejscowymi rzekami — z każdym rokiem płynie w nich mniej wody. Zniknęły ryby. Krótko mówiąc, przyroda górską w alarmujący sposób ubożeje i staje się mało atrakcyjna.

Pytałem wkoło ja, pytają inni, co się to dzieje, że grzybow jest coraz mniej, że w rzekach płyną strumyki? Gdzie należy szukać przyczyn tych anomalii?... Dobrze byłoby, żeby na ten temat wypowiedzieli się naukowcy.

ANONIMY

Postronny obserwator mógłby powiedzieć, że Nowy Targ w sierpniu, wrześniu i październiku trwał w jakimś prowincjonalnym spokoju. Przez ten czas zalogi pracowali bez większych zakłóceń, a powstające konflikty załatwiano natychmiast. Ową spokój — dla kogoś, kto w tym mieście mieszka i nie unika bliskich kontaktów z jego mieszkańcami — jest tylko pozorny. W kawiarni od gadań i ciemno: sprzeczne słowa i myśli z małą domieszką szczeroci. Przed sklepami w kolejkach też jarzy się od posadzeń, pomówień i czort wie od czego jeszcze. Kiedy doradzam: — *Zeznajcie na milicji i w prokuraturze!* — rozmowa cichnie i ustaje. Zaczyna się inny temat — o bałaganie i niedostatkach, albo powtarzanie wiadomości z gazet, radia i telewizji.

Przez parę tygodni pojawiały się w Nowym Targu ulotki, w których podawano imiona i nazwiska osób oraz ich czyny osadzone w opinii społecznej jako naganne. Równolegle — do instancji partyjnych i urzędów wedrowały anonimy na kierowników i dyrektorów nowotarskich zakładów pracy. Jak wieść niesie, tylko kilku dyrektorów uzyskało absolutorium społeczne. Zdecydowaną większość poczęstowano anonimami.

Jak powiedzieliśmy, autorzy ulotek i pism nie podawali swego adresu. Dlaczego? Przyczyny są różne. Korystanie z odwagi i szczeroci należało w ostatnich latach do rzadkich przypadków w Nowym Targu. — *Nie naróżaj się, płyn jak płyn, bierz jak biorą, siedź cicho* — były to dość częste zasady postępowania. O rozsądny, publicznie wypowiadający głos (nie odczytany) było trudno. Radzono bez kartki w „klubie dyrektorów”, podobno — nie o suchych gębie. Kieszonki prywatna rzadko była w ruchu. Czyniono dużo, żeby trzymać za uszy co odważniejszych, a jeżeli mimo to trafiali się mało pokorni, to pozabawiano ich pracy, nawet w przypadku, kiedy byli szefami komórek związkowej. Znana jest choćby sprawa Mariana Borowicza, byłego kierownika Wy-

działu Kultury, Kultury Fizycznej i Turystyki. Jest to zwyyczajny człowiek o dobrych rekach do roboty. Kilka razy się sprzeciwił i był lojalny wobec podwładnych, więc musiał przejść na stanowisko inspektora w Urzędzie Wojewódzkim w Nowym Sączu. Szumiało miasto, a mimo to Borowiczowi nikt nie oddał zabranej godności. Po prostu przepracował nienagannie w administracji państwowej ponad 25 lat i niczego się nie dorobił. Podobne przykłady pojawiały się co pewien czas. Tłamszono odwagę i poczucie samokontroli najczęściej wśród aktyw. Co na to miasto? — *Jak z partyjnymi i uczciwymi tak postępują, to jak będą z nami, bez legitymacji?* — komentowano.

Może dlatego nikt dzisiaj w Nowym Targu nie chce oficjalnie wskazywać nadużyć? Skłono dostatecznie ludzi i dlatego szepczą pokątnie. Może też sami mają plamy na sumieniu?

Jak do tej pory anonimowe działanie przy pomocy ulotek i tonosów nie spowodowało odnowy społecznej w Nowym Targu. Jest to sianie plew na wietrze. Czy wyróżnie z tego siania prawda? Na razie rozkrzewia się dwulicowość, opluwanie winnych i niewinnych. Czy to komu potrzebne? Jeżeli ktoś brał łapówki, garnał mienie społeczne i państwowe, niech odpowiada przed Najwyższą Izłą Kontroli, która i w Nowym Targu zaczęła czynić swe powinności. Jak się wydaje — dość późno, ale może zdola dobrać do sedna nieprawidłowości, błędów zawinionych i niezawinionych. Niech tylko ta instytucja, nareszcie podporządkowana Sejmowi, wskazuje, kto popełniał nadużycia. Niech w sprawach zasadniczych nie stosuje taryfy ulgowej i przestanie zajmować się drobiazgami, co w wielu przypadkach czyniła.

Odnowa musi być odczuwalna także i w Nowym Targu, lecz nie można jej rozstrlecać pomówieniami i ulotkami. Cyniczna odwaga jest szansa zdrowej krytyki i oczekiwanej odnowy.

PIOTR NOWAK

MARZENIE ANTONIEGO HENZLA

Przyszli do redakcji „Dunajca”, pokazał kopię pisma, jakie wysłał do Wydziału Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska Urzędu Miejskiego w Nowym Sączu. Drugiego listu pisma, bo pierwsze pozostało bez echa.

O co mu chodzi? Otóż pan Henzel chciałby, żeby Sącz stał się miastem kwiatów i zieleni. Żeby nowe osiedla: Millenium, Barskie, a także otoczenie hotelu i zajazdu (który właśnie powstaje) nie stawały się kamiennymi pustyniami. Dlatego należy sadzić wiele drzew i krzewów — i dbać o nie.

Wiele tysięcy ludzi tu mieszka, a więc i szuka warunków wypoczynku. Najwięcej dzieci i dorosłych ciągnie nad Kamieniec. Latem — po słońce i wodę, zimą na łyżwy i sanki. A nad Kamieniec mało drzew, mało cienia, brak laweczek. Marzy się więc panu Henzlowi, że brzegi rzeki zamienia się w piękny park. A na to już dziś trzeba się tym terenem zająć.

Antoni Henzel mieszka w Gołbówkach. Na co dzień śledzi zmiany, jakie w tej dzielnicy Nowego Sącza zachodzą. Niekorzystne zmiany:

— Jestem członkiem *Ligi Ochrony Przyrody*, miłośnikiem przyrody. Boli mnie, kiedy widzę, jak ta przyroda marnieje. Przed ośmioma laty, gdy tu zamieszkałem, były w Gołbówkach kuropatwy, zające, bociany, sarenki podchodziły od Falkowej. Dziś przyszedł człowiek i wszystko znikło. Na miejscu dawnych łąk, gdzie pięknie rechotały żaby, jest składowisko zapomnianych płyt betonowych. Dość osobliwy widok, jak na Park Tysiąclecia!

Wie, że miasto ma swoje prawa, swoje wymagania. Ale nie wierzy, by trzeba było niszczyć drzewa po to, by na ich miejsce sadzić cherlawe krzakki,

A już na pewno nie potrafi pogodzić się z niszczeniem terenów, o których wiadomo, że będą i w przyszłości parkiem.

Proponuje więc, aby już dziś, już teraz zabrać się za sadzenie w Parku wielu, wielu drzew: lip, kasztanów, akacji, dębów, jesionów, modrzewi, świerków i sosen — wiadomo przecież, że dobrze tu się przyjmują, o czym świadczą otoczenie Białego Klasztoru i dworku Micyńskich. Można by właśnie tutaj, koło dworku, stworzyć drugie Planty miejskie.

Trzeba już dzisiaj pomyśleć o sadzonkach. Pan Henzel jest pewien, że wielu mieszkańców Sącza weźmie udział w akcji sadzenia drzewa, a także że niejedną z ogrodników ofiaruje bezpłatnie sadzonki swemu miastu. Komitet Osiedlowy z Gołbówki, który popiera pomysły pana Henzla, deklaruje w imieniu mieszkańców tej dzielnicy pomoc i pracę. Można się też spodziewać, że znajdują się społecznicy, którzy wesprą akcję fachowym nadzorem i radą.

Oczywiście pierwszym krokiem musi być opracowanie planu zagospodarowania Parku Tysiąclecia.

Czas też najwyższy, by skończyć z wyrzucaniem śmieci na tereny między parkingiem a hotelem PTTK!

— Byłem ostatnio na kilku wycieczkach — mówi pan Henzel — w Kieleckie, w Górę Świętokrzyskie, do Warszawy. Serce mi się radowało, gdy widziałem wspaniałe parki i troskę ludzi o nie. Zycie Nowemu Sączowi, aby jego ulice i parki były tak piękne i zadbane, jak na przykład warszawskie Łazienki. Wierzę, że jest to możliwe, jeśli wszyscy mieszkańcy naszego miasta zadbają o jego urodę.

(elg)

SLUŻBA RUCHU

Byliśmy już od kilku godzin w drodze i mój redakcyjny kolega, prowadzący samochód, marzył wprost o papierosie. Toteż kiedy przy ulicy mijanego właśnie miasteczka dostrzegł kiosk „RUCHU”, nie zastanawiając się zatrzymał malucha i wybiegł z kierownicy. Niebaczny! I to triumfalnym powrocie z paczką Caro w garści — Niemile się zdziwił na widok milicjanta, który z wcale nie łagodną miną wrócił mu uwagę na obowiązujący tu zakaz zatrzymywania się. Obeszło się wprawdzie bez mandatu, ale kolega, odjeżdżając, mruzczył pod nosem bynajmniej nie komplementy pod adresem „pana władzy”.

Zapadał mrok. Szosa stawała się śliska pod pierwszym śniegiem, mgła pogarszała widoczność. Znalaliśmy jednak dobrą drogę, więc kolega nacisnął pedal gazu. Naraz rzuciło mnie na przednią szybę. Spojrzałam: tuż przed maską fiacika majaczył kształt wozu konnego. Nieoświeconego.

— Ze też zarazy na takich nie ma! — zaklął kolega. — Gdzie jest milicja!?

Mimo powagi sytuacji, parsknął śmiechem.

— Przed chwilą złościli się, że milicji jest za dużo! — zauważyłam.

Jechaliśmy dalej. Na poboczach zaczęły migotać światełka. To dzieci wracały ze szkół. Zabraliśmy jednego malca.

— Wyglądasz jak choinka — zażartował z niego kolega. — Jak choinka z lampkami.

A pan milicjant, który był u nas w szkole, powiedział, że wszyscy mamy nosić takie świece wisiorki przy torstwach! — poinformował go mój kolega. — Wtedy świecimy na drodze i nikt nas nie rozjeżdża!

— No, skoro pan milicjant kazał... A co jeszcze wam mówił ten milicjant?

— Jeszcze uczył nas, że trzeba chodzić lewą stroną szosy, i że nie wolno biegać po ulicach ani jeździć po nich na sankach ani łyżwach. I że mamy pomagać starszemu i przynosić nam takie bajki o Misiu Yogi i Myszece Miki, a my musieliśmy pokazać, że oni do brzo chodzą po ulicy. O, to już mój dom!

Małec wysiadł, podziękował za podwiezienie, a my zaczęliśmy rozmawiać o tym, czym tak naprawdę jest milicyjna służba ruchu: czy rzeczywistość tylko postrachem kierowców i pieszych?

Oboje z kolegą stykaliśmy się w naszej dziennikarskiej praktyce i w życiu

codziennym z wieloma formami działalności profilaktycznej milicji — działalności służącej temu, by jak najmniej wypadków na drogach i jak najmniej ofiar. Uczestniczyliśmy nieraz w akcjach milicyjnych, takich jak patrol drogowe, bezpłatne instruktaże, bezpłatne ustawianie świateł, rajdy służące doskonaleniu techniki jazdy, konkursy i quizy. Widzieliśmy zainteresowanie owocujące lepszą znajomością zasad ruchu na drogach. Byliśmy świadkami pogadanek dla uczniów i dla dorosłych.

Milicja współpracuje z kuratoriami oświaty, a także z różnymi organizacjami społecznymi. Czyni wiele, by wiedza o przepisach wzbogacana była wyobraźnią, która sprawi, że przepis zostanie być martwą literą. Temu właśnie służą bajki dla przedszkolaków — i filmy o wypadkach dla tych, którzy łamią przepisy. Drużyny Młodzieżowej Służby Ruchu, pomocnicy milicjantów z „drogówki”, to liczne grono młodzieży uczącej swych kolegów poruszania się po drogach.

Nowosądecka Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej stała wzbogaca swe gabinety metodyczne. Ostatnio, na przykład, zdobyto serię przeźroczystych przedstawiających różne sytuacje drogowe i taśmy z nagraniem do nich komentarzami. Jeśli osiągniemy to, by w każdej gminie był choć jeden taki zestaw — jakże ułatwi to pracę nauczycieli, nie zawsze przecież mogących pretendować do miana ekspertów w tej dziedzinie.

Systematycznie prowadzone są kursy dla dzieci chcących uzyskać kartę rowerową, natomiast zimą, wraz z Klubami Rolnika, milicja nowosądecka zamierza zorganizować bezpłatne kursy dla wozniców. Nie trzeba nikomu mówić, jak ważne są te akcje dla bezpieczeństwa na szosach i ulicach!

Zaczęła się zima i znów niepokój budzą zabawy narciarzy i saneczkarzy, którzy często nie baczą, że zjeżdżając na szosę mogą w każdej chwili dostać się pod koła samochodów. Dlatego milicja ostrzega — w szkołach, w osiedlach — by rodzice uczyli dzieci, że tak się bawić nie wolno.

Wiele wypadków bierze się z bezzwrotności, z braku wyobraźni. Toteż każde działanie rozwijające tę wyobraźnię i wzbogacające wiedzę jest tak bardzo ważne.

(elg)

ŚLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

Odpowiadając na „List z Moszczenicy” zamieszczony 18 października 1980 r., uprzejmie wyjaśniam:

Młodzież z Moszczenicy, a szczególnie zgromadzenie wokół zespołu regionalnego, umożliwiono rozwijanie działalności kulturalno-oświatowej. Ze środków budżetu gminy zakupiono dla zespołu potrzebne instrumenty oraz stroje, a także zapewniono fachową pomoc instruktora Gminnego Ośrodka Kultury. Nie tylko w okresie remontu pomieszczeń zajmowanych przez Klub „Rolnika” w remizie OSP w Moszczenicy, ale na stałe, udośćniono pomieszczenia świetlicy wiejskiej w budynku administracyjnym Urzędu Gminy na odbywające próby oraz występy artystycznych. Lokal tej świetlicy, posiadający scenę, został wyposażony w odpowiednie urządzenia i korzysta z niego nie tylko młodzież miejscowa, ale także odbywają się tutaj imprezy artystyczne udośćniane innym organizatorom (np. sąsiadującemu GOK z Łużnej). Świetlica ta, poza obiektem GOK w Dominikowicach, jest najlepszym lokalem dla działalności kulturalnej, znacznie lepszym niż lokal obecnego Klubu „Rolnika” w Moszczenicy, czasowo wyłączonego na skutek remontu. Młodzież z Moszczenicy nie miała i nie ma trudności w korzystaniu z obiektu świetlicy wiejskiej. Jedynym stawianym (a nie zawsze przez młodzież przestrzegany) warunkiem, jest zapewnienie zabezpieczenia obiektu i sprzętu przed zniszczeniem, a także utrzymanie czystości w udośćnianym lokalu. Zespół regionalny w Moszczenicy ma pełne warunki roz-

wijania działalności i przede wszystkim od samej młodzieży (co częściowo podnosi także autor listu ob. Tadeusz Kijek), zależy uzupełnienie zespołu regionalnego, częściowo zdekompletowanego na skutek wyjazdu części członków poza teren wsi (zmiana miejsca zamieszkania w związku z pracą, służbą wojskową). W ramach posiadanych możliwości zapewniona jest pomoc organizacyjna i finansowa dla rozwijania działalności kulturalno-oświatowej w Moszczenicy. W listopadzie br. uruchomiony zostanie Klub „Rolnika” po przejęciu spowodowanej koniecznością przeprowadzenia kapitalnego remontu obiektu remizy OSP, które to prace, mimo społecznej deklaracji, spoczyły prawie wyłącznie na Urzędzie Gminy. Remont tego obiektu przeciągał się nie tylko z powodu braku materiałów, wykonawców, środków i limitów, ale także z uwagi na małe zainteresowanie miejscowego społeczeństwa, w tym również młodzieży.

Ponadto podaje, że sygnalizowana przez autora listu sprawa baru piwnego w Moszczenicy poddana zostanie pod opinię mieszkańców tej wsi i w zależności od tej opinii podjęte zostaną odpowiednie decyzje, łącznie z ewentualną likwidacją baru.

Naczelnik Gminy
mgr STANISŁAW SORCZAK

Miasto kontrastów



Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

O bok rozwijającego się przemysłu — wieloletnie zaniedbania społeczne. Nowoczesna technika w Fabryce Maszyn Górniczych i Wiertniczych „Glinik” — i ubogie gospodarstwo rolne w obrębie miasta. Okazałe domki jedno- i dwurodzinne po obu stronach drogi do Szymbarku i układ komunikacyjny, jakby żywym wyjęty z ubiegłego stulecia. Całodzienne przerwy w dostawie wody pitnej, brud na osiedlach, małościestwo. A także niewątpliwe dokonania.

Jak żyje się gorliczanom? Co im przeszkadza, co utrudnia życie na co dzień? Co ich najbardziej boli?

STANISŁAW SWINARSKI — radny MRN: — Problem numer jeden Gorlic jest zaopatrzenie w wodę. Zbyt mało ofensywne są działania władz miejskich w tym kierunku. Nie ma miesiąca bez awarii wodociągów, zwłaszcza w okresach burzowych całe osiedla bywają pozbawione wody.

Brak wody — to i brak prądu technologicznego. Nie można więc utrzymać linii produkcyjnej przy wytwarzaniu węglonów szklanych w „Matoliu” czy też asfaltu w Rafinerii Nafty. Często są zamulenia i zanieczyszczenia filtrów w elektrociepłowni w „Gliniku”. Trzeba wtedy zamknąć przepływ wody. A zapasów wystarcza zaledwie na kilka godzin. Najważniejsza jednak jest woda dla mieszkańców miasta.

ROMAN GLIŃSKI — robotnik FMGW „Glinik”: — Co mnie boli?... Niegospodarność i beczynność. Przykład: kilka lat ciągnie się budowa pawilonu handlowego i przychodni rejonowej na Osiedlu XXX-lecia. A mieszka tam pięć tysięcy ludzi. Przez dwa

lata robota była w ogóle wstrzymana. Ile pieniędzy pochłonęła ziemia, deszcz, wiatr i... złodzieje? Nie widać też żadnych perspektyw ukończenia budowy sklepu przy ulicy Obrońców Stalingradu. A ulice? Niech pan sam się przekona i pójdzie na Stróżowską lub Szopena obok Fabryki.

FRANCISZEK RACHEL — lekarz szpitala rejonowego: — Lekarz powinien mieć tak zorganizowaną pracę, aby zajmować się chorymi, nie zaś uganiać się za naprawą muszli klozetowej czy ciekającego kaloryfera.

Nowy szpital, z którym wiązaliśmy tyle nadziei, nie funkcjonuje prawidłowo. I to mnie martwi. Nauca kłopotliwa, chorzy się przezebrają. Projektant i wykonawca nie zaobalili o uchyłkach odpowiedniego zaplecza. Na oddziale chirurgicznym musieliśmy wykwalifikować pacjentów z jednej sali, by ją przeznaczyć na magazyn ubrań i rzeczy osobistych!

Nie zawsze też ci, co kierują szpitalem, słuchają uwag tych, którzy pracują w bezpośredniej styczności z chorymi... Na przykład chirurgia jest jakby spychana na plan drugi — brak różnego rodzaju zachęt powoduje, że w gorlickim szpitalu są etaty, lecz brakuje chirurgów. Aby zaś zorganizować pracę na oddziale — trzeba mieć ludzi. Nie miało zaś wspomnę o niezbędnej aparaturze medycznej: serigrafie — do wykonywania zdjęć kontrastowych przy urazach mechanicznych, cytoskopie — do badań urologicznych i spirografie — do analizy czynności płuc. Bardzo by się przydały...

JERZY BOROWY — pracownik Biura Obsługi Ruchu Turystycznego, Oddziału „Kornuty”: — W Gorlickim na pierwszym miejscu stawiany jest prze-

mysł. Odbija się to niekorzystnie na stosunku władz do problemów turystyki... Nie mamy gdzie lokować gości. „Glinik” wybudował kolejne hotele zakładowe, zaś przedsiębiorstwo turystyczne — nie ma ani jednego. A przecież kwatery prywatne nie mogą być tzw. „bazą podstawową”, lecz „uzupełniającą” turystyki!

Niezrozumiałe jest też male zainteresowanie zakładów pracy naszą działalnością. Albo inna sprawa: namówiliśmy właścicieli kwater prywatnych na niemałe wydatki związane z wyposażeniem i modernizacją pokoi — tymczasem wojewoda podniósł podatek, a zakłady pracy zmniejszyły w funduszu socjalnym limity na rzecz gospodarki nieuspołecznionej. Czy więc mamy przyciągać turystów? Wychodkiem za stodołą?... Terenami narciarskimi bez uryciagów?... Wycieczkami autokarowymi po nieprzejeźdźnych drogach i mostach?... Pozostaje wieczór z rzutnikiem i prelekcją.

Gnębi mnie też, nasz teren, interesujący przyrodniczo i historycznie, nie może pochłaniać się wieloma opracowaniami monograficznymi i niekonwencjonalnymi przewodnikami. Jedynym muzeum w Gorlicach jest faktycznie — jak na razie — własnością półprywatną. Piszemy faktury, rozliczamy rachunki — zamiast organizować imprezy i promować wycieczki.

ANDRZEJ KUKLICZ — pracownik Rejonu Dróg Publicznych: — Wiele jest uzajemnego okłamywania się. Jeżeli jednak za wyładowanie tony cementu robotnikowi należy się siedem złotych, to on palcem nie kiwnie. Co się więc robi? Ano, zapisujemy, że cement został przeniesiony na przykład trzydzieści metrów dalej — wyładunek kosztuje już piętnaście złotych za tonę. Wiedzą o tym przełożeni, wie władza, wie społeczeństwo. Czy tak musi być?

RYSZARD KWILASZ — nauczyciel: — Jako wychowawca i pedagog głęboko odczuwam obniżenie aurytety zawodu nauczycielskiego. Dużo w tym winy samych nauczycieli, jednak nie tylko. Ci, których szanowaliśmy — stracili twarz, ci, co uprawiali idee równości społecznej — żyli jak książęta. A młodzież to wszystko obserwowała. Czy można się dziwić, że bywa cyniczna, egoistyczna, zaniżona w sobie, nerwowa? Lekarz szkolny zgłasza mi przypadki omdleń i płaczków. Boję się, czy te stesy, obojętność i marazm nie pozostaną na dłużej.

Co mi przeszkadza w pracy? Na pewno ustawodawstwo szkolne, które sankcjonuje błędy dydaktyczne. Chodzi mi o nadmierny liberalizm w stosunkach nauczyciel—uczeń. Także o jednostronne rozumienie kodeksu ucznia. Szkoła

często nie może egzekwować powinności, bo narazi się... tatusiowi. Największym pesymizmem napawa mnie zmora reformy systemu oświatowego, niezgodna z możliwościami, nie potwierdzona eksperymentalnie. Dla mnie i dla gorlickich uczniów prawdziwą reformą byłoby kompletny podręczników dla wszystkich... W Liceum Medycznym trzydzieści pięć uczniów uczy się przedmiotu „choroby zakaźne” w oparciu o trzy podręczniki...

JÓZEFA K. (nie chce podać nazwiska) — ekspedientka: — Boli mnie pochopne i nietrafne decyzje dotyczące na przykład wyburzenia kilku domków przy ulicy Obrońców Stalingradu na rzecz nowej inwestycji — hotelu, który do dzisiaj z ziemi nie wyrósł i — jak znam życie — za pięć lat nie wyrośnie.

Nadął nie rozwiązany problemem są śmieci. Pojemniki stale wypełnione, a obok góry odpadków. Czystość miasta zależy nie tylko od tych, co śmieci, ale głównie od tych, co sprzątaj.

BOLĄCZEK JEST WIĘCEJ

Kuleje naprawa dróg i chodników. Lawina pojazdów z trudem przeciska się przez niefunkcjonalne skrzyżowania. A w budownictwie? Jeszcze dwa, trzy lata wstecz Gorlice nie miały drastycznych kłopotów mieszkaniowych. Dziś okres wycekiwania wydłużył się do dziesięciu lat.

Jakie są najpilniejsze potrzeby miasta? Przede wszystkim nowa oczyszczalnia ścieków, wysypisko śmieci z prawdziwego zdarzenia, nowy cmentarz.

W Urzędzie Miejskim słyszę: — Wody dalej będzie brakować, gdyż istniejąca zahamowania w projektowaniu „wodociągu grupowego Gorlice—Bieczę”. Zastępca naczelnika, EDWARD SZEW-CZYK mówi: — posłamy środki pozabudżetowe, nagromadzone sumptem miejscowych zakładów. Nie możemy ich jednak właściwie spożytkować, ponieważ brakuje wykonawców.

Specjalista do spraw planowania w Urzędzie — MIECZYSLAW OLSZEWSKI: — Władze terenowe mają ciągle za mało uprawnień. Cały portfel robot jest zatwierdzany u „góry”. Nawet fundusze na male remoty i inwestycje pozostają w gestii władz wojewódzkich. Dlatego bardzo długa lista postulatów zgłoszonych przez obywateli Gorlic i radnych ciągle pozostaje bez odpowiedzi.

Nie przedstawiłem pełnej panoramy gorlickich problemów. Pominąłem tutaj szereg ważnych kwestii — między innymi sprawy kultury, formy spędzania wolnego czasu (podczas mojego pobytu w Gorlicach „Powrót do domu” w WARSZAWIE oglądało kilkanaście osób, zaś kawiarnia „Szarotka” z piwkiem i wódką pod stolikami pękała w szwach).

Liczę jednak na to, że mieszkańcy Ziemi Gorlickiej zechcą uzupełnić ten obraz miasta pełnego kontrastów.

LIMIT - nasz pan?

„Pieniądz jest dobrym sługą, ale złym panem”. Stałe odchodzenie od pieniądza jako miernika oceny działalności gospodarczej spowodowało zastępowanie go limitami nakazującym odgórnie przedsiębiorstwom, jak mają rozdyponować swoje środki. Te zaś limity stały się jeszcze gorszym panem, określającym sposób postępowania kierowników zakładów w całkowitym często oderwaniu od sytuacji i realiów.

Przedsiębiorstwa znalazły się w gorsecie limitów i dyktów regulujących drobne, często mało istotne fragmenty działań gospodarczych. W krótkim czasie straty okazały się większe od korzyści, które chcieli w ten sposób wymusić twórcy limitów. Weźmy np. — krytykowany ostatnio w Sejmie — limit określający górną granicę wartości robót wykonywanych przez rzemieślników na rzecz gospodarki uspołecznionej. Rzemieślnicy mają przede wszystkim pracować na rzecz ludności — uza-

sadniono te ograniczenia. Generalnie słusznie, ale w praktyce...

W jednej ze szkół województwa tarnowskiego zalana została podłoga w sali gimnastycznej i wymagała ona natychmiastowego remontu. Szkoła zwróciła się do przedsiębiorstwa uspołecznionego, które przysłało kosztorys na sumę ponad 100 tys. zł, obiecując przystąpić do prac za kilka miesięcy. Zbliżył się jednak nowy rok szkolny, więc dyrektor wydebił u wojewody zgodę na zatrudnienie rzemieślnika. Ten zaś naprawił podłogę w ciągu kilku dni i zażądał za swoją usługę kilkunastu tysięcy złotych.

Nieвозмоść drobnej naprawy instalacji wodnej w szpitalu, do której również chciano przyjąć prywatnego wykonawcę, spowodowała wkrótce potem konieczność prucia zalanych stróp — i generalnego remontu wykonywanego już przez przedsiębiorstwo państwowe za setki tysięcy złotych i w dodatku opieszale, z wielką stratą dla przebywających w szpitalu pacjentów. Utrudnienia w angażowaniu rzemieś-

ników do remontu domów mieszkalnych w małych miastach — nie dysponujących często w ogóle uspołecznionym potencjałem budowlanym — powodują szybkie niszczenie substancji mieszkaniowej w naszym kraju. Tak więc przepis, teoretycznie chroniący ludność, czyni jej znacznie większe szkody nie przyczyniając się ponadto do rozwoju rzemiosła. Nic więc dziwnego, że jest on obecnie powszechnie krytykowany.

Limity zamiast sprzyjać, hamowały w wielu przypadkach postęp efektywności gospodarowania. Wiele przedsiębiorstw skarżyło się, że nie może pożytecznie wykorzystywać gromadzonych się odpadów, ponieważ związane to jest z większą pracochłonnością, a więc i z koniecznością zatrudnienia dodatkowych robotników. Limit zatrudnienia powodował, że odpady po prostu palono.

Limity benzynowe wywołały przymusowe zatrzymywanie samochodów i beczynność ich kierowców, mimo niespokojenia pilnych potrzeb transportowych, zakłócającego rytm produkcji przedsiębiorstw. Z kolei ci, którym potrzeba było mniej benzyny niż to określał limit, wykorzystywali go całkowicie, aby nie dopuścić do obniżenia w przyszłości tej normy. Rzecz

zupełnie karygodną były opóźnienia w transporcie płodów rolnych — mimo posiadanego taboru i kierowców — spowodowane również ślepym przywiązaniem do limitów.

Limity przeszkadzały także w sprawie realizacji niektórych porozumień zawartych z zalogami w ostatnim okresie. Dziwiono się wielokrotnie, dlaczego dyrekcje nie realizują oczywistych, zadowoloby się, postulatów poprawy warunków pracy w zakładach. Na przykładzie stał znów wszelki władny limit, ograniczający np. zakupy związane z poprawą bhp. Dyrekcje nie mogąc rozstrzygnąć sprawy we własnym zakresie, traciły autorytet wśród załóg, co prowadziło niejednokrotnie do niepotrzebnych zadrżnień i napięć.

Pierwszym krokiem zapowiedzianej reformy gospodarczej stało się więc wprowadzenie — już od 1 stycznia 1981 r. — doroznych uprawnień systemu planowania i zarządzania, które usuną większość cytowanych w wstępie absurdów. Przewidują one istotne ograniczenie liczby dyktów i limitów przekazywanych do przedsiębiorstw. Opinia publiczna powita z pewnością te zmiany z zadowoleniem.

TOMASZ WALAT

Nowotarskie bolączki

Z pytaniem: **jakie są najważniejsze sprawy do załatwienia w mieście?** — udaliśmy się do Nowego Targu. Wszyscy pytani wymieniali przede wszystkim trzy: hotel, szpital i drogę na Kowaniec. Budowę hotelu z trzystu trzydziestoma miejscami noclegowymi, restauracją, kawiarnią, barem nocnym (podobno będzie strip-tease) oraz salą bankietową rozpoczęto w 1974 roku. Zastosowano wówczas nową, wdrożeniową metodę tzw. „ślizgową”, w języku fachowym SBM-75. Polega ona na montażu gotowych, metalowych urządzeń, tzw. szalunków tunelowych, zastępujących tradycyjne deskowanie, pozwalających uniknąć robót murarskich, tynkarskich i ciesielskich. Teoretycznie przyspiesza więc budowę, a o to chodziło inwestorowi.

Pierwszym wykonawcą hotelu było Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego „Podhale”. Przystąpiło do prac, ale w roku 1976 na wniosek Głównego Komitetu Kultury Fizycznej budowę przerwano; wstrzymano wówczas w kraju 59 budów o charakterze turystycznym. Nastąpiły zmiany administracyjne. „Skalny” został włączony do planu terenowego województwa nowosądeckiego. Kontynuacja budowy wymagała 4 milionów złotych. Przyznanie ich było w gestii ówczesnego wojewody nowosądeckiego.

— **Gdybyśmy wówczas otrzymali te pieniądze** — stwierdził przedstawiciel inwestora: Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Turystycznej Nowy Sącz, oddział w Nowym Targu — **prace przy hotelu byłyby już na ukończeniu. A tak...**

Spółeczeństwo Nowego Targu nie mogło spokojnie patrzeć na niszczące fundamenty i sprzęt. Dwukrotnie sprawozdano komisję sejmową, odwoływano się wszędzie gdzie to było możliwe.

Jak twierdził inwestor, głównie dzięki postom Ziemi Sąddeckiej, w 1978 roku zapadła decyzja o wznowieniu budowy hotelu „Skalny”. Nowym wykonawcą zostaje nowosądecki oddział Przedsiębiorstwa „Budopol”. Przejęcie budowy nie odbyło się bez trudności. Trzytętna przerwa nie pozostała bez śladu, fundamenty były popękane, trzeba było poprawiać izolację.

Jednak największe kłopoty sprawiły zakupione jeszcze przez „Podhale” szalunki tunelowe. Pełna nazwa ich pro-

ducenta brzmi: Kombinat Maszyn dla Fabryk Domów „Zremb” w Gliwicach, z zakładem produkcyjnym w Makowie Mazowieckim. Ten właśnie kombinat wykonał szalunki z wadami technicznymi, tak że nie nadawały się do montażu. „Budopol” nie chciał więc ich odkupić od „Podhala”. Zwolano aż dwie komisje arbitrażowe — w Krakowie, a następnie odwoławczą w Warszawie.

Decyzja była jednoznaczna: „Budopol” musi odkupić szalunki.

W wyniku przegranej arbitrażu „Budopol” musiał zapłacić 10 milionów złotych za szalunki i 106 tysięcy za koszty komisji.

— **Gdyby szalunki były potrzebne dopiero na drugi rok, oddalibyśmy firmę z Makowa do prokuratora** — twierdzi inwestor — **obecnie nie możemy sobie na to pozwolić, bo musimy już dziś z szalunków korzystać. Albo sprawa mebli: trzeba by zamówić ponownie, gdyż zamówienie sprzed czterech lat było anulowane. Takie działania pociągało za sobą dodatkowe koszty.**

Jak daleko posunęły się prace na budowie hotelu? Od 1979 roku do chwili obecnej wykonano: konstrukcję parteru, antresole, schody, windy i mury w piwnicach. Tempo robót nie jest więc rewelacyjne.

Przyczyny? Po pierwsze: brak od trzech miesięcy cementu i gazu technicznego. Z tym ostatnim jest tak: na początku roku składa się zamówienia na tlen i acetylen, a w praktyce na sześć zamówionych butli dostaje się dwie.

Po drugie: brak pieniędzy. Przykładowo na rok bieżący inwestor złożył do Wojewódzkiej Komisji Planowania zapotrzebowanie na 20 milionów złotych, przyznano mu tylko 9, a „Budopol” był w stanie wykonać w tym okresie prace o łącznej wartości 14 milionów. Na przyszły rok przyznano na budowę hotelu zaledwie 7 milionów, a wykonawca mógł przyjąć zamówienie na 15 milionów złotych.

Po trzecie: firma z Makowa Mazowieckiego wykonała dopiero jedną trzecią prac przy szalunkach, co bardzo zwolniło tempo robót. Faktycznie, zdaniem przedstawicieli „Budopoli”, pracownicy od sierpnia nie bardzo mają co robić, dlatego wyszukuje się im prace zastępcze, byle tylko ich bezczynność nie rzuciła się zbytnio w oczy.

Według planu budowa hotelu powinna zakończyć się w roku 1983. Ale zdaniem kierownika działu inwestycji, jeżeli sytuacja materiałowa nie ulegnie zmianie, a Komisja Planowania będzie ograniczała fundusze — prace potrwać jeszcze z dziesięć lat!

Bardziej optymistycznie, bo na cztery lata, oceniają budowę pracownicy „Budopoli”. Ale i oni wskazują na szereg trudności w swojej pracy. Na przykład — na brak środków czystości.

— **Proszę popatrzeć na moje ręce** — mówi któryś z robotników — **od pięciu miesięcy nie otrzymaliśmy żadnego proszku ani pasty do rąk.**

Inny dodał, że do reguli należy otrzymywanie jednego ręcznika na półtora roku. Robotnicy skarżą się też na zły stosunek do nich kierownika z „Budopoli”. Podobno jedyną jego odpowiedzialność na jakąkolwiek uwagę pracownika są dwa słowa: „bez dyskusji”. Pracownicy „Budopoli” twierdzą też, że dyrekcja nie interesuje się warunkami ich pracy. Jeżeli nawet dyrektor odwiedzi budowę, to rozmawia wyłącznie z kierownikami.

Nie ma dymu bez ognia: już czterokrotnie zmieniali się kierownicy tej budowy!

Obecnie zlikwidowano nowosądecki oddział „Budopoli”. Budowę „Skalne-go” przejął Kraków. Jak twierdzi kierownik WPGT, krakowska dyrekcja interesuje się budową, lecz z Krakowa do Nowego Targu daleko...

A tymczasem turysta w Nowym Targu ma do dyspozycji jedynie hotel IV kategorii „Janosik” (o ile przypadkiem są w nim wolne miejsca) lub kwatery prywatne.

Droga na Kowaniec — to drugi problem miasta, wymagający szybkiego rozwiązania. Kowaniec to ważna dzielnica Nowego Targu. W tej części miasta znajduje się Liceum Ekonomiczne, prewatorium, Dom Dziecka Mieszka tam również znaczna część obywateli Nowego Targu. Tamteży prowadzi też szlak turystyczny w Gorce. Tymczasem od czterech lat ulica Kowaniec jest „na okrągło” rozkopana. Od wiosny bieżącego roku trwają tam niezbędne prace kanalizacyjne. Czy są to jednak rze-

czywiście prace? Mieszkańcy Kowafica stwierdzają coś innego. Mówi się o złym dozorze, podpieraniu o narzędzia, piciu nie tylko kawy czy herbaty (są na to świadkowie). Wskazuje się na przestoje drogiego sprzętu, niszczenie autobusów PKS i pojazdów prywatnych.

Najdziwniejsza wydaje się sprawa męstu na Kowaficancie. Zaczęto go budować w miejsce zniszczonego przez powódź, po czym budowę przerwano. Obecnie jesienią znów zaczyna się coś rościć przy moście. Jak długo potrwa ta budowa? Co bardziej niecierpliwie proponują mieszkańcom Kowafica, aby wraz z Komitetem Osiedlowym w czynnie społecznym pomogli robotnikom przy moście. Dla własnego dobra.

Nikt nie kwestionował i nie kwestionuje potrzeby nowego szpitala w mieście. Podobno już dwadzieścia lat temu był on uwzględniony w planach urbanistycznych. Ale dopiero w 1976 roku rozpoczęto kompletowanie dokumentacji. Prace te nie zostały jeszcze zakończone.

Nowy szpital ma liczyć 1120 łóżek. Podstawowym inwestorem jest Zakład Ubezpieczeń Społecznych, inwestorem zastępczym Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich w Zakopanem. Wykonawca — „Budopol”.

Prace przy budowie szpitala rozpoczęto w roku 1979. W chwili obecnej przygotowuje się tam i ubraja teren. Wykonano również zaplecze dla pracowników „Budopoli”.

Co utrudnia prace? Głównie brak kompleksowej umowy o budowę. Zdaniem przedstawicieli wykonawcy, winą leży po stronie inwestora.

Do tej pory nie przedstawiono też jeszcze danych o organizacji budowy, choć od roku leżą one w Biurze Projektów. Sporny jest także termin zakończenia budowy szpitala. Inwestor domaga się oddania go do użytku po upływie 64 miesięcy od podpisania umowy, „Budopol” postuluje więcej, bo 80.

Dotychczasowe prace utrudniała także zła obsługa budowy ze strony Transbudu, mała ilość samochodów, ich zły stan techniczny, częste awarie. Praktycznie pracowało tylko 30 procent samochodów.

Podkreślić trzeba, że mimo braku umowy całościowej — „Budopol” pracuje i wartość wykonanych już prac wynosi 15 milionów złotych, gdy tymczasem umowa częściowa opiewała jedynie na 8 milionów.

Należy tylko oczekiwać, że formalności zostaną dopełnione na korzystnych dla obu stron warunkach — i wykonawca będzie mógł zupełnie legalnie zabrać się do budowy.

Rozmowy „Dunajca”

PRZESTAŃMY SIĘ KLÓCIĆ

Przewodniczący Społecznej Komisji Pojednawczej na osiedlu Kochanowskiego w Nowym Sączu, pan **Zygmunt Podhalański**, stwierdza:

— Tak, lubimy się kłócić. Jest na to wiele dowodów. Przecież prawie połowę wszystkich spraw karnych w sądach stanowią tzw. „pyskówki”. Ale wyrok sądowy nie likwiduje podłoża sporu. Przeciwnicy z sali sądowej wracają do swych domów i znów będą żyli obok siebie. Po pewnym czasie znów dojdzie do obelg, nawet rękoczynów, sprawa ponownie trafi do sądu. Znane są przypadki sporów ciągnących się całymi latami. Sami procesujący się zapominają, od czego się wszystko zaczęło. Do rozgrywek zostają wciągane rodziny, sąsiadki — tworzą się całe przeciwnostawne obozy.

Zdaniem Społecznej Komisji Pojednawczej jest więc łagodzenie sporów, skłanianie stron do zgody. Często słyszymy pytania: czym jest komisja, jakie są jej zadania? Powiedzmy jasno: nie jest to żaden organ państwowy powołany do wymierzania sprawiedliwości. Społeczna Komisja Pojednawcza ma pomagać ludziom, a nie karać. Nie stosujemy żadnego przymusu ani nie korzystamy z choćby pozorów władzy.

— **Czy to utrudnia, czy też ułatwia pracę?**

Utrudnia — bo nie mamy władzy nakazywania czegokolwiek. Ułatwia — bo nie potrzebujemy formalności, a prawdy dochodzimy w rozmowach z mieszkańcami osiedla, gdzie się na

ogół wszyscy znamy, z dobrej i złej strony. Świadomość, że czyjeś postępowanie spotka się z potępieniem środowiska — jest dla wielu ludzi istotnym hamulcem.

— **Jakie warunki powinien spełniać kandydat na członka SKP?**

— Przede wszystkim musi to być człowiek znany w danym środowisku, doświadczony w pracy społecznej, cieszący się uznaniem otoczenia. Musi też umieć łagodzić spory i oddziaływać wychowawczo, mieć zasób specjalistycznych wiadomości, pomocnych w pracach Komisji (np. w sprawach mieszkaniowych lub rolnych). Powinien być przy tym zrównoważony i bezstronny, rozumiejący załamania wewnętrzne i konflikty innych ludzi.

— **A zatem: ideał! Gdzie takiego znaleźć?**

— Trzeba się rozejrzeć. Tacy ludzie żyją wśród nas. Wiele z nich to renciści i emeryci, ludzie o bogatym doświadczeniu życiowym, dysponujący często rozległą wiedzą. I — co bardzo ważne — mający dużo wolnego czasu.

— **Kto może skierować sprawę do SKP?**

— Każdy. Najczęściej jednak zwracają się do nas sami poszkodowani. Często też Komisja sama zajmuje się jakąś sprawą i podejmuje, oczywiście za zgodą zainteresowanych, próbę polubownego rozstrzygnięcia sporu. Zwłaszcza się też do nas organizacje społeczne,

kolegia do spraw wykroczeń, milicja, a nawet sądy (gdy nastąpi umorzenie postępowania karnego).

— **Czego dotyczą sprawy rozpatrywane przez SKP?**

— Różnorodnych problemów współżycia społecznego. Zawsze jednak są to sprawy nie wymagające zastosowania środków karnych przez sąd lub kolegium. W miastach przeważają sprawy mieszkaniowe, zwłaszcza tam, gdzie spotyka się lokale wielorodzinne, gdzie dobre współżycie rodzin codziennie wystawiane jest na próbę w wyniku wspólnego użytkowania kuchni, łazienki, korytarzy czy piwnic. Wiele problemów dostarczają też stosunki właściciel—lokatorki.

W nowych osiedlach spory wynikają z nieprzestrzegania regulaminu blokowego — a więc z nieliczenia się z sąsiadami przy słuchaniu radia, telewizji, trzepaniu dywanów.

— **A jakie są główne problemy SKP na wsi?**

— Spory związane z ziemią. Typowe są spory o miedzę, las, parkan, wrzście skłody wyrządzone w zasiewach przez bydło i drób.

— **Czy w swojej pracy miał Pan sprawę na pozór nie do załatwienia?**

— Oczywiście. Często nawet członkowie Komisji odradzali mi podjęcie mediacji. Przykładowo: toczył się spór o przejazd. Jeden sąsiad zabronił drugiemu przejeżdżać przez swoje pole, wówczas ten drugi nie dopuszczał go do wspólnej studni. Każdy chciał postawić na swoim, doszło nawet do bójki, w konsekwencji sprawa trafiła do sądu. Rezultatem kilku spotkań Komisji z obydwoma sąsiadami było podpisanie ugody.

— **Co najbardziej utrudnia pracę Komisji?**

— Po pierwsze: mieszanie się sąsiadów do rodzinnych waśni. Kiedyś roz-

patrywaliśmy ciągnącą się przez blisko trzy lata sprawę, dotyczącą konfliktu wewnątrzrodzinnego. O przejazd. Dopóki jeden z krewnych nie wybudował sobie szklarni, mógł korzystać ze wspólnej drogi, przebiegającej między dwoma spokrewnionymi domami. Z chwilą gdy szklarnia zaczęła przynosić mu znaczny dochód, zawisła trudniła mu przejazd. Gdy już miało dojść do ugody, sąsiadzi zaczęli podjudzać: „Co ty, głupi, zgadzasz się na to, przecież to twoje pole, pozwolisz mu przez nie jeździć?” No i cała sprawa zaczęła się od początku.

Zgłosił się do naszej Komisji mężczyzna ze skargą na swoją żonę. Są już dawno po rozwodzie, on mieszka w blokach razem z córką i jej mężem. Żona latem przebywa na wsi, gdzie ma gospodarstwo, a na zimę przyjeżdża do dzieci. I wtedy ów mężczyzna jest sztywny, a nawet bity przez byłą małżonkę i zięcia. Niestety, nie mogliśmy się sprawą zająć, bo wezwani nie zgłosili się na posiedzenie Komisji. To jest druga trudność naszej pracy. Nie możemy przecież nikogo zmusić!

— **Czy zdarzają się przypadki — nazwijmy to: recydywy?**

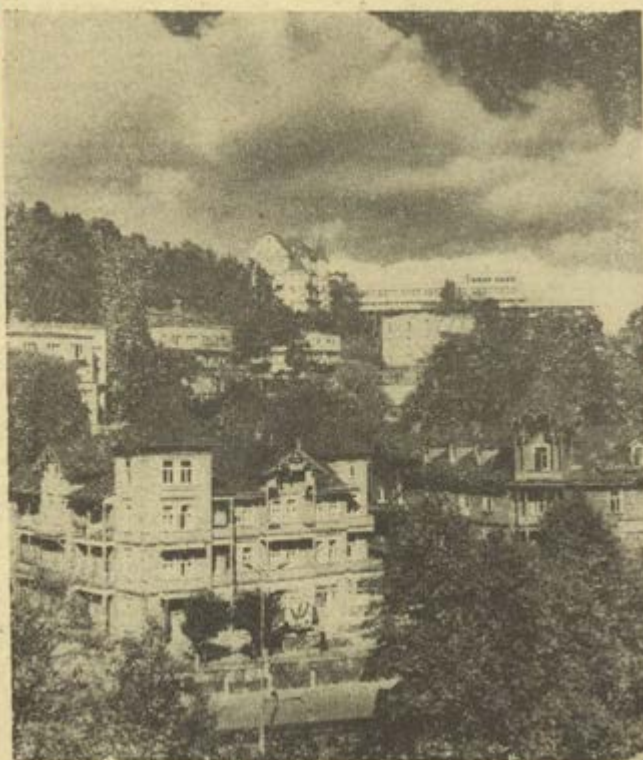
— Tak, zwłaszcza w sporach długoletnich. W takich wypadkach udaje nam się załagodzić sytuację najwyżej na pół roku.

— **Czy po załatwieniu sprawy spotyka się Pan z wyrazami wdzięczności?**

— Bardzo rzadko. Ale chyba żadna praca społeczna nie jest „wdzięczna”. Jedyną naszą nagrodą jest świadomość, że jesteśmy ludziom potrzebni.

DANUTA BINEK

RATUJMY DREWNIANA



Fot. JERZY ŻAK

Zagrożenie dla Parku Slotwińskiego

Pragnę przedstawić opinię nie tylko własną, ale i innych mieszkańców ulicy Bieruta — najbliższych sąsiadów Parku Slotwińskiego — w sprawie poruszanej w „Pozdrowieniach z Krynicy” Antoniego Kroha.

Nie znam szczegółów administracyjnych ani kwestii zatwierdzenia projektu remontu obiektu zwanego „zabytkowym pawilonem” w Parku. Natomiast znam sam „zabytkowy pawilon”. Składał się on do czasu remontu z części frontowej — drewnianej fasady — oraz części wiejskiej, murowanej — zapełniona — przykrytej żardzewiałą blachą.

Park Slotwiński, położony w kotłynie opodal ulicy Bolesława Bieruta, pozostawał dotychczas (i pozostaje, jak na razie) na spokojny wypocinek. Wiele tu drzew liściastych, wysokich, krzewów, ławki wygodne, bliskość lasu, możliwość korzystania ze źródła wody mineralnej „Slotwinka”, nowo urządzone plac zabaw dla dzieci. Słowno — warunki prawdziwego, nierzyn nie skrupowanego relaksu.

Po rozpoczęciu remontu pawilonu Park został zamieniony w bardzo uczęszczany szlak komunikacyjny. Wożono samochodami przez kłonby piasek, cegły i inne materiały.

Park ma wprawdzie wielu mecenasów, ale przede wszystkim takich, którzy dbają raczej o Kieszne niż o kulturę.

Latwo teraz pisać: „w Krynicy to Parku Slotwińskiego stoi zabytkowy pawilon, już niebezpieczny i nie opuszczony i stan jego nie jest opanakany. A UMIG nie martwi się o zainteresowania budynkiem, ale o jego... przeznaczenie”. Ile jednak w tym prawdy?

Otóż mocno poszkodowany bohater pana Kroha, właściciel pawilonu, nie chce sobie radzi. Poszerzył obiekt poza obręb istniejących dawniej konstrukcji nośnych o co najmniej 40 procent. Z archyzytykowej budowli pozostało kilka (nawet nie kilkanaście) osłoniętych beak konstrukcji fasady, którą — nawiasem mówiąc — poszkodowany i bez-

radny Romuald S. zabudował pustakami typu „siporex”. Tak że pozostało nie więcej niż pięć procent dawnej zabytkowej wartości obiektu.

A może ktoś powie: „stać nas na kolejne Zamki Warszawskie”? Jeżeli są takie życzenia, to niech inwestują sami panowie Romualdowie S.!

Można za to łatwo sprawdzić, jak p. Romuald S. zadbał o rozbudowę części mieszkalnej.

Dotychczas Park Slotwiński był bardzo potrzebny w tej części Krynicy, a teraz prawdopodobnie będzie drugim... „Nowym Barenem”. Nie chcę obrażać krynickiej gastronomii ani samego „Nowego Baru”, ale nie byłoby to korzystne dla spraw kultury ani wypoczynku, gdyby od wczesnego popołudnia nasze dzieci miały kontakt z podchmielonym towarzystwem. Dużo miejsca, dużo ławek... jedyny problem — to sprzątnięcie. Ale i to można świetnie zorganizować: posłać młodzież szkolną do odrobienia czynu społecznego.

Myślę, że istotne dla Urzędu Miasta i Gminy oraz dla władz partyjnych było i chyba jest nadal znalezienie lokalu na Muzeum Nikifora. A to miejsce, w Parku Slotwińskim, jest jak znalazł... tylko szkoda, że Minister Kultury i Sztuki przysłał pieniądze za późno. Medale w naszym kraju mają często nie tylko dwie, ale i więcej stron. A z tej sprawy wniosek taki: pokrzywdzony szuka swoich praw i obrońców, Naczelnika Miasta i Gminy wypędną w kozi róg, a mieszkańców wygania z Parku.

W imieniu mieszkańców ulicy Bieruta i Slotwińskiej — **WIADYSŁAW GRABAN**, Krynica, ul. Bieruta 53

P.S. W minionym roku TPD w Krynicy szumnie uruchomiło w sąsiedztwie „nowego zabytku” plac zabaw. Jeżeli dobrze pójdzie, klienci pana R. S. będą mieć, poza przyjemnością alkoholową — przyjemność zabawy na zjeżdżalni dla dzieci. Można by ją usytuować bliżej przepływającego tam strumienia.

Pensjonat „Witoldówka”, relikw drzewianej zabudowy Krynicy z końca XIX wieku, jeszcze stoi w centralnym miejscu miasta przy krynickim deptaku.

Pisząc „jeszcze stoi” zdaje sobie sprawę, że jest to już dzisiaj kwestią najbliższego czasu, a stać przestanie.

„Witoldówka” nie jest w Krynicy wyjątkiem. Temat, co zrobić z drewnianą zabudową miasta, co zrobić z „Witoldówką”, był przedmiotem żywej polemiki prasy centralnej i terenowej, opowiadającej się bądź za, bądź przeciw rewaloryzacji Krynicy. Zwyciężyło ze wżech miar słuszne stanowisko o konieczności ratowania tego co jeszcze można uratować, żeby zabytkowe obiekty nie podzieliły smutnego losu Starej Pijalni, cudownego dzieła dawnych mistrzów ciesielski wiejskiej.

Przed dziesięcioma laty, na skutek zagrożenia technicznego, ORBIS — ówczesny gospodarz „Witoldówki” — zlikwidował prowadzony w niej pensjonat i opuścił budynek, który do dziś systematycznie i dosłownie zamienia się w ruinę.

W roku 1977 ORBIS, zgodnie z decyzją GKKiPT, z ulgą przekazał „Witoldówkę” nowemu gestatorowi: Wojewódzkiemu Przedsiębiorstwu Gospodarki Turystycznej w Nowym Sączu. Przekazano też dokumentację na rewaloryzację obiektu z przeznaczeniem na hotel.

Za obietnicę udostępnienia części pomieszczeń hotelowych, WPGT znalazł przedsiębiorstwo, które chciało parzyć w kosztach rewaloryzacji: Sądzieckie Zakłady Elektrowęglowe zadeklarowały niebagatelną kwotę 28 milionów złotych (całość miała kosztować 45 milionów).

Obowiązki inwestora bezpośredniego przekazano Oddziałowi WPGT „Jaworzyna”. W roku 1979 Zakład Budownictwa Turystycznego przy WPGT w Nowym Sączu został zobowiązany do wykonania prac rewaloryzacyjnych. Mnie Oddział „Jaworzyna” powierzył obowiązki inspektora nadzoru.

Gdy zapoznałem się z dokumentacją i możliwościami wykonawcy, a przede wszystkim z ekspertyzą rozpoznawczą z czerwca 1980 roku, ogarnęły mnie poważne wątpliwości, czy projektowane zadanie jest dzisiaj możliwe i uzasadnione. Wspomniana ekspertyza ostatecznie przekreślała możliwość rewaloryzacji „Witoldówki”.

Czas tej ratowania minął bezpowrotnie; teraz istnieje tylko możliwość bardzo „drogiej” rekonstrukcji, której koszt — optymistycznie — oceniam na sto milionów złotych.

W dniu 24 października bieżącego roku, na mój wniosek, poparty przez Wojewódzkie Biuro Projektów w Nowym Sączu, odbyła się w WPGT narada w sprawie „Witoldówki”. Zgłosiłem na niej swe uwagi, zastrzeżenia i propozycje.

Z przedstawionej ekspertyzy wynika, że budynek musi być rozebrany łącznie z fundamentami, a wszystkie elementy drewniane, z wyjątkiem kładek schodowych i nielicznych fragmentów elewacji, należy spalić, gdyż inaczej nie da się zlikwidować robactwa, które się tam zalegało.

W tej sytuacji obiekt jako zabytek przestaje istnieć i może być mowa tylko o jego pełnej rekonstrukcji, co w konsekwencji powoduje konieczność zmiany dokumentacji technicznej, znalezienia wykonawcy zapewniającego wykonanie skomplikowanych robót ciesielskich oraz przygotowania dużej ilości drewna wysokiej jakości i innych niezbędnych materiałów budowlanych.

Wszelkie zmiany w dokumentacji są, oczywiście, możliwe, lecz niezbędny jest czas i środki.

Jak się zatem przedstawia dzisiejsza sytuacja „Witoldówki”?

Według oświadczenia Dyrektora WPGT w Nowym Sączu — pracownice konserwacji zabytków, właścicieli do tego rodzaju robót, zdecydowanie odmówiły przyjęcia zlecenia. Natomiast Zakład Budowlany przy WPGT w Nowym Sączu, zmuszony do realizacji tego zadania, kategorięcznie odmówił wykonania robót ciesielskich. Do dzisiaj brak dla nich wykonawcy.

Nie ma też potrzebnych materiałów. Drewno rośnie jeszcze w lesie, brak

materiałów instalacyjnych, impregnatów, armatur, farb i lakierów.

Jest już natomiast... specjalne urządzenie grzewcze na gaz dla przyszłej kotłowni, sprowadzone za dewizy z RFN. Choćbyśmy już dzisiaj znaleźli wykonawcę i materiały, to i tak prace przy rekonstrukcji „Witoldówki” potrwałyby cztery—pięć lat. Aparatura grzewcza stanie się w tym czasie kupą złomu.

Moja propozycja brzmiała więc następująco:

Budynek trzeba rozebrać, bo musi być rozebrany. Nieliczne zachowane elementy elewacji i kładki schodowe zachować jako materiał wyczerpujący do czasu, gdy warunki gospodarcze pozwolą a Pracownia Konserwacji Zabytków podejmie się wykonania według nich całości od nowa. Znamacząc, że szczegółowa dokumentacja inwentaryzacyjna obiektu została opracowana.

Mimo moich zastrzeżeń, Konserwator Wojewódzki Zabytków, inż. Małgorzata Biedron, i przedstawiciel Wojewódzkiego Biura Planowania Przestrzennego Architektury i Nadzoru Budowlanego w Nowym Sączu podtrzymały decyzję o odtworzeniu obiektu. Natomiast Wojewódzkiemu Biuru Projektów w Nowym Sączu zwrócono uwagę, że winno ograniczyć swoje zainteresowania do prac projektowych (!).

Może się myśle, ale sądzę, że nie stać nas dzisiaj na wydatkowanie około stu milionów złotych, aby uzyskać dla Krynicy mniej lub bardziej udaną strąpę zabytku.

Jest i wiele innych spraw związanych z losem uzdrowiska, które budzą we mnie głęboki niepokój. Trudno pisać o wszystkich; temat — rzeka. Ograniczam więc swoje rozważania do kilku obiektów.

W willi „Tatrzańska”, równie niebezpieczna „Witoldówką”, w trudnych warunkach mieszka wielu lokatorów, a budynek ma najwyższy stopień zagrożenia pożarowego. Już w roku 1967, ze względów bezpieczeństwa, dawny Wydział Architektury PPRN w Nowym Sączu wydał nakaz wykwaterowania lokatorów i poddania obiektu kapitalnemu remontowi. Niestety, do dzisiaj nie ma na to środków ani mieszkań zastępczych.

Zupełnej ruiny ulega kregielnia z częścią gastronomiczną w Parku Pulańskim, a w tym czasie wyraża się zgodę na zmianę przedwojennej zabytkowej „Ptaszarni” w Parku Slotwińskim na lokal gastronomiczny. Obecnie do budowania do malej „Ptaszarni” coś... nie, to trzeba zobaczyć! Cisną mi się pytania: kto to zalał? opiniował? decydował?

Mały, drewniany budynek o interesującej architekturze — „Romanówka” przy ulicy Bieruta ma być (dowiedziałem się o tym 21.10.81. przypadek) od Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Nowym Sączu) zabrany do nowosądeckiego Skansenu.

Coś tu nie gra.

W maju bieżącego roku złożyłem pismo z propozycją w sprawie przeznaczenia „Romanówki” na „Dom Nikifora”, do dziś nie otrzymałem na nie odpowiedź. Na moje, postawione we wrześniu, pytanie Naczelnik Urzędu Miasta i Gminy w Krynicy poinformował mnie o decyzji władz wojewódzkich, że budynek należy rozebrać ze względu na daleko posunięty proces zniszczenia, a na „Dom Nikifora” przeznaczyć się inny budynek, tak zwaną „Dyrektorówkę” przy deptaku krynickim.

„Dyrektorówka” nie ma żadnej wartości zabytkowej, jest budowlą prymitywną, w złym stanie technicznym i ją raczej należałoby zlikwidować. Przedłużyłoby to jednocześnie ciąg spacerowy deptaku.

Pismo w sprawie „Romanówki”, które wysłałem na ręce Przewodniczącego Rady Narodowej w Krynicy (kopie otrzymał: Wojewódzki Konserwator Zabytków, Wojewódzkie Biuro Planowania Przestrzennego, Architektury i Nadzoru Budowlanego w Nowym Sączu oraz Naczelnik Urzędu Miasta i Gminy Krynica) — brzmiało następująco:

Celem przyspieszenia budowy „Domu Nikifora” w Krynicy proszę o zapoznanie się z załączoną propozycją, która umożliwia realizację tego zamierzenia w roku 1981.

KRYNICĘ!

PROPOZYCJA REALIZACJI BUDOWY „DOMU NIKIFORA” W KRYNICY

1. Powołać społeczny komitet budowy „Domu Nikifora” w Krynicy.
2. Wystąpić do WZSR w Nowym Sączu o nieodpłatne przekazanie budynku „Romanówka” przy ul. Bieruta i przeznaczyć go na „Dom Nikifora”.
Budynek ten, jeden z ostatnich ciekawych drewnianych zabytków starej Krynicy, należy jak najszybciej ratować. Jeszcze rok—dwa i spotka go los Starej Pijalni.
3. Wytypować miejsca, na które należy przenieść budynek „Romanówka”, i poddać go pieczołowitej rewolucyjacji. Proponuję następujące lokalizacje:
a) na działce między kawiarnią „Wisła” a budynkiem NBP, co stworzy przedłużenie drewnianej zabudowy i wypełni niewykorzystaną przerwę w zabudowie,
b) przed stacją kolejki linowej w miejscu dawnej „bečki” toru saneczkowego,
c) na działce przy ulicy Pułaskiego, między budynkiem Rady Narodowej „Cisem” przy skarpie,
d) w obrębie istniejącej działki — oddalić budynek od drogi, a zbliżyć do budynku „Liliana”, zaś ścianę szczytową sklepu „1001 drobniagów” i sanatorium „Rene-sans” zabudować budynkiem kawiarni, informacji turystycznej itp.
4. W porozumieniu z częścią zakładów remontowo-budowlanych, działających na terenie Krynicy, załączam oświadczenie pięciu właścicieli zakładów o podjęciu się nieodpłatnego wykonania fundamentów pod „Dom Nikifora” w Krynicy.
5. Wystosować apel do mieszkańców i instytucji w Krynicy pod hasłem: „Kryniczanie, w czynie społecznym budujcie DOM NIKIFORA w Krynicy”.
6. Ze swej strony zobowiązuję się do nieodpłatnego nadzoru i pomocy technicznej od momentu podjęcia realizacji budowy do jej zakończenia.

A oto załącznik do tej „Propozycji”:

ZOBOWIĄZANIE

Niżej podpisani, deklarujemy nieodpłatnie wykonanie fundamentów (za wyjątkiem kosztu materiałów przydzielanych przez Urząd Miasta i Gminy w Krynicy) pod budowę Domu Nikifora w Krynicy w miejscu i czasie wskazanym przez Urząd Miasta i Gminy w Krynicy.

Pieczęcie podłożne o treści:

- 1) „Zakład Remontowo-Budowlany, Antoni Zarski, ul. Rewolucji Październikowej 9, m. 3, 33-380 Krynica, tel. 25-23”.
- 2) „Budownictwo-Murarstwo, wpr. bud. Kazimierz Badyda, Krynica, Aleja 1000-lecia nr 32, tel. 21-36”.
- 3) „Zakład Remontowo-Budowlany, bud. Kazimierz Gniewek, Nr uprawnień 143/70, Krynica, ul. Wspólna 2-5/35, tel. 28-33”.
- 4) „Zakład Instalacyjno-Budowlany, Jan Czech, ul. Ludowa 2, 33-380 Krynica, tel. 789”.
- 5) „Zakład Murarski, Technik budowlany Józef Kupnicki, Nowy Sącz, ul. Grodzka 39a”.

Podpisy.

Jak widać, Kryniczanie (i nie tylko Kryniczanie) gotowi są na niemałe świadczenia na rzecz naszego miasta. Pytam więc: dlaczego dalszych losów krynickich zabytków nie omawia się z nami, dlaczego nie są przedmiotem dyskusji ze społeczeństwem Krynicy, przedmiotem kompetentnych, a przede wszystkim fachowych konsultacji?

Inż. arch. RYSZARD NACHMAN

ul. Świerczewskiego 10
Krynica

Jestem byłym współpracownikiem terenowym „Gazety Krakowskiej”. Należałem do tych, którzy często się wychylali, ku niezadowoleniu instytucji i władz terenowych, a wiadomo, że racja mocniejszego była wtedy najlepsza.

Z zadowoleniem powitałem ukazanie się Waszego tygodnika, bowiem do tej pory dzienniki Polski południowej zbyt mało uwagi poświęcają Krynicy.

List z Krynicy

Mam nadzieję, że wznowicie więzi czytelników z Redakcją, by jej współpracownikami byli nie tylko pracownicy etatowi.

Dziś chciałbym napisać o naszym samorządzie mieszkańców. Jestem członkiem Komitetu Osiedlowego nr 2 w Krynicy. Zebranie zaszczylił swoją obecnością Naczelnik Miasta i Gminy. Padły słowa o roli i zadaniach samorządu mieszkańców jako przedłużenia ramienia władzy terenowej. Praktycznie na tym się skończyło. Zaden z naszych postulatów nie został wykonany. Niektóre dotyczyły wyposażenia lokalu, inne dostarczenia upoważnień dla dokonania kontroli społecznej, wykonania parkingu dla samochodów, rozmównicy telefonicznej, dostawy materiałów niezbędnych przy wykonaniu czynów społecznych, pomocy osobom znajdującym się w trudnych warunkach materialnych.

Urząd nuleży, rośnie zaś teczka kopii pism kierowanych do tegoż Urzędu.

Zachodzi pytanie: czy powołano nowy Komitet Osiedlowy w największej dzielnicy Krynicy po to, by jego inicjatywy utknęły w biurkach? Wyjścia są dwa: albo zawieszenie działalności Komitetu Osiedlowego do czasu respektowania zgłoszonych postulatów, albo pociągnięcie do odpowiedzialności osób lekceważących wnioski samorządu mieszkańców.

A może Naczelnik Krynicy widzi inne rozwiązanie?

STANISŁAW KOZAK

Krynica

ul. Rewolucji Październikowej 1



Fot. WACŁAW KLAG

Jeszcze jeden łyk kryniczanki

„Trzy łyki kryniczanki” — artykuł Antoniego Kroha w „Dunajcu”, czytalem z ogromnym zainteresowaniem. Brawo, Panie Magistrze Kroh! Szczególnie zainteresował mnie fragment trzeci — „O inicjatywie”. Więc może na ten temat obszerniej:

Kiedy zapadła decyzja wybudowania Nowej Pijalni, wali fabrycznej o charakterze egzotycznym za 51.000.000 złotych, była mowa o tym, że stara zostanie w Parku Słotwińskim jako Galeria Sztuki Nikifora i Miejsce Twórców Ludowych. Niestety, Pijalnia Główna — stara, zabytkowa, została podzielona na opał między pracowników PPU Krynica-Zębiestów (niech się nie wykręcają, bo szczytki leżały koło budynku przy ulicy Kraszewskiego 104 i lekarz dał przetrzeć moim dzieciom a 20 zł na opał).

Z byłym kierownikiem. BORT-PTTK w Krynicy, panem Stanisławem Nowakiem, rozmawiałem o zagospodarowaniu Parku Słotwińskiego. O tym, że przed 1939 rokiem był tu piękny zwierzyńiec, że w muszli koncertowej grała orkiestra. Można byłoby, sięgając do starych zdjęć, przepuścić wtedy mały strumyk, urządzić mini-skansen starej Krynicy. Otworzyć Pijalnię „Słotwińską”, a w muszli koncertowej mogłoby grać kapela ludowa z Podluzza, Szczawnicy, Gorców, Łącka, Nowego Sącza. Mogłoby występować tu gawdziarze ludowi.

Niestety, spalono w kuchniach Starą Pijalnię, a muszle koncertową w Parku Słotwińskim ówczesny Naczelnik Miasta i Gminy w Krynicy, inż. Norbert Połednik, sprzedał jakiemuś człowiekowi z Łodzi na kawiarnię. Mało było knajp

jak „Hawana”, „Nowy Bar”, „Zdrojowa”, „Roma”, „Ciche Kąci”, „Expresso” itd. — jeszcze jedna pasowała, w Parku Słotwińskim. O kulturze i sztuce Krynicy nie pomyślano! Brak nam teatru, o muzeum sztuki współczesnej Krynicy ani słowa. Widać, ktoś chciał podjąć i popić za frajer w naszym mieście. Przykra to sprawa...

Nie dziwmy się też, że zaśmiecono obrzydliwymi pudłami mieszkaniowymi Aleje 1000-lecia czy Rewolucji Październikowej, skoro w Krynicy do dziś nie ma fachowca plastyka, a są jedynie pseudoplastycy, którzy chcą tylko zarobić — jak na przykład „Knajpiarz”, który jest jurorem twórczości dziecięcej (nie podam nazwiska), rzeźbiarz, który wczoraj przypadkiem wziął do ręki kociak i coś wystrugał, więc dziś nazywa się **Artystą rzeźbiarzem**. E, mówić się nie chce... Każdy się stroi w jakie chce piórka.

Ja jestem twórcą, nie artystą. Nie mam miejsca i sił do opisanie tego wszystkiego, co złe. Nie lubiła Krynica Nikifora, nie lubi innych twórców, dlatego brzydnie ona, brzydnie jej ludzie, brzydnie wszystko, co niedawno jeszcze było w niej piękne.

Brońmy ludzi, którzy kochają piękno Krynicy, brońmy inicjatywy Naczelnika Miasta i Gminy Władysława Sikorskiego, działającego na rzecz kultury i sztuki Krynicy. Zawsze lepiej późno niż wcale.

Acha, jeszcze jedno: ciekaw jestem, co z Towarzystwem Miłośników Krynicy?

JÓZEF CITAK

rzeźbiarz ludowy

Krynica, ul. Kraszewskiego 104



Fot. JERZY ŻAK

Należeli do pokolenia, w którym arcydziła się „Oda do młodości”. To oni właśnie „mierzyli siły na zamiary”. W kilkunastu ruszyli na Belweder, aby zgładzić znienawidzonego tyrana, w 160 powstałi przeciwko blisko 7 tysiącom żołnierzy carskich, stacjonujących w Warszawie. Oni, wychowankowie pierwszej szkoły podchorążych w Łazienkach.

Ich przywódca — podporucznik grenadierów, instruktor musztry w Szkole Podchorążych Piechoty, PIOTR WYSOCKI — tak wspominał chwilę narodzin spisku, który w efekcie przyniósł krajowi nowy zryw wolnościowy:

„15 grudnia 1828 roku, kiedy przypadkiem zgromadziło się w moim mieszkaniu kilku podchorążych tej Szkoły... zaczęliśmy mówić o otwarciu z sobą o połączeniu politycznym Europy, tudzież o potrzebie i środkach wyuzdzenia ziemokół naszych spod ucisku ubrewu przeciwnego ustawie konstytucyjnej, suobodom przez króla i naród zaprzysiężonym... Przyrzekliśmy sobie odtąd bezpręztannie działać... związek upoważnił mnie do przyjmowania nadal nowych członków”.

Rozpoczął się nowy etap w życiu podchorążych. Od tej chwili oddali wszystkie swe siły dla potrzeb związku, widząc jedynie w boju na śmierć i życie szansę odzyskania niepodległości Ojczyzny. Warto o tym pamiętać dziś, gdy czynimy 150-ty rocznicę czynu zbrojnego 29 listopada 1830 roku.

Antoni Szybis

PAMIĘTNA NOC PODCHORAŻYCH

Z bagnętami na Belweder

...Była godzina szósta wieczorem, listopadowy mrok rozświetliły luno pożarów browaru Weissa na Solcu i domu na Nowolipiu. Na ciemnym, jesiennym niebie nad Warszawą zawisła luna, niczym znak do walki dla całego kraju. Sformowana przez podchorążych kolumna miarowym krokiem ruszyła na Agrykołę, w stronę koszar gwardii carskiej. Jedna grupa wojskowych wraz z cywilami-spiskowcami skierowała się do Belwederu. Niestety, Konstanty zdołał — w kobiecym przebraniu — uciec ze swej siedziby. Ta część planu nie powiodła się. Nie udało się także oprowadzić koszar rosyjskich na Agrykołę.

Wobec niestawienia się reszty oddziałów powstańczych sytuacja podchorążych stawała się coraz bardziej krytyczna.

Po pierwszej wymianie strzałów, otoczeni przez silniejszego przeciwnika — bagnętami utorowali sobie drogę do placu Trzech Krzyży, a następnie Nowego Świata. Atmosfera objętości bogatego mieszczaństwa towarzyszyła podchorążym aż do Arsenału. Tutaj go-

spodarzył już batalion 4 pułku piechoty, popularni „czwartacy”. Oni to rozdali broń ludności, która szeroką falą zapelniała ulice Starego Miasta, atakując zbłąkanych żołnierzy zaborcy.

Tysiąc walecznych

„Czwartacy” brali udział we wszystkich prawie bitwach, dając wszędzie przykłady niezwykłego męstwa i determinacji. W bitwie o Olszynkę Grochowską kilkakrotnie odbijali ją brawurowymi atakami. Bohatersko odpięrali ataki na szanach Woli. O ich bezprzykładnym poświęceniu może świadczyć fakt, iż z ponad 3,5 tys. żołnierzy granicę pruską po upadku powstania — w Brodniczy, 5 października 1831 r., przekroczyło zaledwie 200. Pozostali legli na bitewnych polach, odnieśli rany lub dostali się do niewoli. Za swe czynny pułk otrzymał najwięcej ze wszystkich jednostek powstańczych, bo aż 214 krzyży Virtuti Militari.

Ich bohaterstwo przeszło do historii. O nich to Juliusz Mosén napisał pięknie piosenkę pt. „Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę”, której jedna ze strof brzmi: „Stój, kto idzie, krzycząc

pruskie warty — my to dziesięciu, cały to pułk czwarty”.

„Czwartacy” stali się symbolem nieugiętej walki o wolność i niepodległość swego kraju. Ich zaszczytne miano nosili jednostki, które swymi czynami nawiązywały do tradycji poprzedników. Mowa tu o czwartym pułku piechoty Legionów, batalionie w I wojnie światowej, oraz batalionie AL, walczącym w Powstaniu Warszawskim.

Dla uczczenia pamięci tych, którzy przed 150 laty stanęli do walki, by rzucić okowy niewoli, rocznicę tę obchodzimy jako Dzień Podchorążego. Gdy jesienią tradycyjna warta w historycznych, barwnych strojach zmienia się przed Belwederem, jest to nie tylko zewnętrzny symbol, więzi, łączący tamto bohaterskie pokolenie ze Szkołą Podchorążych i ich kolegami z odrodzonego Wojska Polskiego. Tak jak tamci kładli swe młode głowy na ołtarzu Ojczyzny pod Wawrem, Dębem Wielkim, Grochowem i Iganiami, tak również ci poświęcali swoje życie dla tych samych ideałów — wolnej, niepodległej Polski; ginąc pod Leninem i Monte Cassino, pod Tobrukiem, Narwikiem i na Wale Pomorskim, pod Arnheimem i pod Budziszynem.

Róża Drojcka

Stanisław Staszic w Tatrach

W roku 1804 znalazł się w Tatrach po raz pierwszy Stanisław Staszic, uczonego przyrodnik i geolog, jedna z najwybitniejszych postaci Oświecenia polskiego.

Miał już wówczas Staszic lat czterdzieści dziewięć, urodził się bowiem w roku 1755.

W drugiej połowie osiemnastego wieku Tatry były już dosyć dobrze zbadaone od strony węgierskiej, głównie przez Spiszaków. Natomiast od strony polskiej jedynymi przybyszami, którzy w te góry docierali, byli zbieracze ziół i poszukiwacze skarbow. Na temat Tatr panowała najzupełniejsza ignorancja. Wierzono, że zamieszkują je smoki (król August II zamiesił w Dreźnie kości smoka z Tatr). Twierdzono, że Morskie Oko ma połączenie z morzem; królowi Stanisławowi Augustowi ofiarowano na pamiątkę znalezione w tym jeziorze belki, które były rzekomo szczątkami rozbitego na morzu okrętu, zaś ten inteligentny i wykształcony człowiek ogłądał je z zainteresowaniem i kazał wystawić na widok publiczny — a przecież woda nie może przepływać ze zbiornika niższego do wyższego i to jeszcze przy różnicy poziomów około 1500 metrów. Nic więc dziwnego, że nie kwapiono się do miejsc, zamieszkałych przez smoki i złe duchy. Odosobnieniu Tatr Polskich sprzyjał też brak jakichkolwiek środków komunikacyjnych, docierających do ich podnóża.

Staszic przybywa w Tatry jako naukowiec, i to naukowiec w nowoczesnym tego słowa znaczeniu. Młodszy od niego o dwa pokolenia Sewerny Goszczyński będzie jeszcze w dobrej wierze pisać o żyjącej w Morskim Oku olbrzymiej rybce, porywającej owce z brzegu; Staszic zaś bada głębokość i temperaturę wody i notuje rzeczowo, że w jeziorze są ryby, owszem: salmo alpinus i salmo umbla Linnei.

U tego przyrodnika-racjonalisty nie dostrzegamy ani cienia zabobonnego stosunku do gór. Był on, jak się powszechnie mówi, „ojcem geologii polskiej”, ale dzięki niemu te prapoczątki geologii stanęły od razu na wyżynie prawdziwej nauki. Mapy geologiczne Staszica to nie ciekawostki, które teraz oglądamy w muzeach z żartobliwym wruszeniem; jeszcze sześćdziesiąt lat temu sporządzono mapę geologiczną Polski, opierając się na mapie Staszicowej.

skiej. Oczywiście jest rzeczą, że wiele zjawisk tłumaczył sobie Staszic opacznie. Jeszcze reszta przez długi czas po nim nie zdawano sobie sprawy z istnienia tak zasadniczych dla obecnej rzeźby Tatr okresów fałdowań górotworu i wielkich zlodowaceń. Natomiast zdawał sobie Staszic sprawę z faktu, że Tatry przeszły przez okres zalewu morskiego — mówił mu o tym skały osadowe. Rzeźbę Tatr przypisywał jednak bez reszty czynnikom erozyjnym.

Dolinę Nowotarską zwiedza Staszic już w roku 1802. Zafascynowany widokiem łańcucha tatrzańskiego, przybywa w roku 1804, aby odbywać wycieczki w głąb gór. Powraca w roku następnym, 1805.

Podobnie jak w dziedzinie pojęć filozoficznych, społecznych, przyrodniczych, tak też i na polu taternictwa wyprzedził Staszic swą epokę o dziesiątki lat. Jego wycieczny górskie będące powtarzane dopiero w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia, i to przez najlepszych. Jego marszruty są imponują-

ce. Był na Czerwonych Wierchach, Wołoszynie, Rysach, Krywanu, Łomnicy, jest pierwszym znanym zdobywcą Kołowego. W kilkadziesiąt lat później, gdy doktor Chałubiński wyraził chęć zwiedzenia Kołowego Szczytu, towarzysze jego wybuchnęli burzliwymi protestami: ależ to niemożliwe, to pewna śmierć, że wszystkich stron cychąja straszliwe przepaście!

Długo trwało, zanim człowiek przezwyciężył lęk wobec groźnie spiętrzonych Tatr. Ale ksiądz Staszic lego tego nie znalazł zupełnie. Badał północne podnóże Łomnicy, wydostając się do dolinki Dzikiej i podchodząc wysoko pod Miedziane Ławki (a znawcy Tatr wiedzą, jaka jest tam groźna sceneria skalna). Samą Łomnicę zdobywa od strony południowej, przez Ramię Łomnickie. Jest pierwszym Polakiem, który stanął na tym szczycie. Spęda na wierzchołku całą noc, robiąc doświadczenia z igłą magnetyczną. Na Wołoszynie spotyka go gwałtowna nawałnica z błyskawicami i piorunami, co opisuje rzeczowo i bez upiększeń.

Przez dłuższy czas uważano, że Staszic był zdobywcą Lodowego — doniero znakomity taternik, Mieczysław Świerż, wykazał, stawiając szczegółowy topograficzny, że szczyt, nazwany przez Staszica „Szczytem Kolbachu” nie jest Lodowym, ale Kołowym. Technika wspinania i poruszania się po zboczach opisuje Staszic w sposób świadczący o tym, że nie sprawiała mu ona większych trudności. A miał już przecież pięćdziesiąt lat, Tatry zaś były zupełnie bezdrożem.

Badania naukowe w Tatrach przeprowadza Staszic systematycznie: są one przecież motorem jego wycieczek. Ma ze sobą odpowiednie przyrządy — obserwuje nie tylko zjawiska meteorologiczne i geologiczne, lecz również florę i faunę zwiedzanych okolic; czyni też sprostereżenia etnograficzne. Jest pierwszym polskim hydrobiologiem, on to bowiem wykonuje pionierskie pomiary głębokości i temperatury jezior tatrzańskich, a mianowicie Morskiego Oka, Czarne Stawu pod Rysami oraz zanikającego stawu w Dolinie za Mniczem, nazwanego później na jego pamiątkę Stawem Staszica. (Obecnie pozostało z niego tylko kilka drobnych stawków).

Nie wszyscy przyjeżdżający do Zakopanego daliby sobie radę — przy obecnym udościennieniu Tatr — z trasami, jakie sto osiemdziesiąt lat temu przebył po górskich bezdrożach ten wielki duchem człowiek, pionier nauki, a pośrednio również i taternictwa.





Fot. ANTONI KROM

Halina Kenarowa mieszka w Zakopanem od ponad trzydziestu lat. Wraz ze swym drugim mężem, Antonim Kenarem, zorganizowała na nowych zasadach słynną Szkołę Przemysłu Drzewnego (obecnie Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Antoniego Kenara). Była długoletnią dyrektorką szkoły, wykładała tam również wiedzę o sztuce. Publikuje sporo artykułów na tematy zakopiańskie, jest autorką obszerniej monografii pt. „Od Szkoły Przemysłu Drzewnego do Liceum Kenara”. W przygotowaniu: „Damy zakopiańskie XIX wieku”.

Zbigniew Uniłowski

Pamiętam, że było to już po śmierci Kenara, chyba w roku sześćdziesiątym, kiedy to Ludwik Hieronim Morstin wraz z żoną zaproszowali mi, byśmy razem odwiedzili panią Kasprowiczową na Harendzie. Pogoda była śliczna, jechalśmy fiakrem co najmniej z pół godziny, a po drodze rozmawialiśmy. Pani Morstinowa zapytała o mój debiut w sferach literackich, jak wszedłem w ten świat przez małżeństwo z moim kuzynem, Bolesławem Micińskim i jakie były moje pierwsze wrażenia; bo ona, wychodząc za mąż za literata, była ogromnie ciekawa tego środowiska, zupełnie jej nieznanego — a przyjęcie, na którym poznała Żeromskiego, Strugę, Berenta i innych wielkich pisarzy bardzo ją rozczarowało, ponieważ owi luminarze kultury polskiej mówili wyłącznie o jedzeniu i połowianach. Odpowiedziałam, że moje wejście w świat literacki było szalenie romantyczne. Na początku lat trzydziestych, kiedy po maturze zdałem w Grodnie, przyjechałem na studia romanistyczne do Warszawy, zaczęłam się stółować u matki mego kuzyna, a przyszłego męża, Bolesława Micińskiego, który był wówczas studentem filozofii u profesora Tatarakiewicza, początkującym poetą i krytykiem teatralnym. No i na imieniny kuzyna przyszli ludzie niepośledni: był malarz Józef Czapski, był Witkacy. Ci dwaj panowie należeli do pokolenia rodziców Bolesława. Następnie jego rodzice: poeta Józef Czechowicz, poeta Władysław Sebylew, Konstanty Ręgamey — kompozytor, krytyk muzyczny i orientalista w jednej osobie, w ogóle „renesansowy pan”; był Juliusz Króński, późniejszy profesor filozofii na Uniwersytecie Warszawskim, był Zbigniew Uniłowski i Jan Tarnowski, mecenas sztuki, znany intelektualista i przyjaciel artystów. Zauważyłam

wtedy że zgrozą nonszalancko Zbyszek Uniłowski, całkowicie przekraczając reguły dobrego wychowania. Myślałam, że to poza — bo nie wiedziałam, że pochodził on z lumpenproletariackiej rodziny z Powiśla, zaś awans na łamy „Wiadomości Literackich” był dla niego wielkim skokiem i rzeczą niespodziewaną. Po skończonym przyjęciu, około północy, goście się rozeszli, a tylko jeden Zbyszek Uniłowski nie chciał wyjść. W pewnej chwili zaproponował, że odprowadzi mnie do domu. Przyjęłam z wdzięcznością tę propozycję, która skończyła się tym, że Zbyszek spacerował ze mną nad Wisłą do piątej rano, rozmawiając o swoich sprawach bardzo prywatnych, wręcz intymnych, a nad ranem ogłosił mi o moją rękę. Byłam ogromnie zdumiona; odpowiedziałam, że nic z tego, że jestem „zajęta”. On natomiast robił wrażenie człowieka, który natychmiast potrzebuje pomocy, przyjaznej ręki, bo czuł się jak człowiek bez żadnej kotwicy. Dostał właśnie paszport na wyjazd do Brazylii, miał wyjechać na rok, zapoznać się z życiem Polonii Brazylijskiej (napisał potem książkę „Żyto w dzungli”). Powiedział, że szalenie boi się wyjazdu i chciałby mieć poczucie, że ktoś w Polsce na niego czeka, że ma do kogo wrócić. Było to wyznanie tragiczne, którego sensu absolutnie wówczas nie rozumiałam. Wyjechał. Napisał do mnie z Brazylii trzy listy, bardzo zresztą piękne, a następnie zamilkł, ponieważ nie odpisywałam. Po trzydziestu latach dowiedziałam się, że pisał on stamtąd bardzo piękne listy do mego kuzyna Bolesława, których ja byłam głównym tematem; były to romantyczne „listy pisarza” prawdziwie zakochanego. Zbyszek błądzał w nich mego kuzyna o wpłynięcie na moją pozytywną decyzję. Kuzyn tych listów nigdy mi nie pokazał, ale widocznie zwrócił one jego uwagę na moją osobę, ponieważ sam mi się oświadczył i w ten sposób wszedłem w świat intelektualnej i literackiej Warszawy.

Czesław Miłosz

Po ślubie z Micińskim w 1936 roku pojechaliśmy na rok do Francji. On przygotowywał doktorat, ja pracę magisterską. Najpierw przez pół roku siedziliśmy w Grenoble, pisałam pracę o psychoanalizie Stendhala. Szperałam w jego rękopisach, interesowały mnie przede wszystkim listy, a w tych listach pomyłki i skreślenia, z których wynioskowałam niezbitie, że Stendhal miał

„kompleks Edypa”. Ale na tym się całe odkrycie skończyło...

Wyjeżdżając do Paryża, zostawiliśmy nasze malutkie mieszkanko na Saskiej Kępie przy ulicy Dąbrowskiej (willa stoi do dziś dnia, tylko bomba zniosła stryżek, gdzie mieszkaliśmy, i dach jest teraz płaski) pod opieką Czesława Miłosza. Przyjaźnił się z moim mężem już od dawna, a ponieważ mąż był wówczas recenzentem poetyckim, więc prawie wszyscy poeci przychodzili do niego ze swoimi nowo wydanymi tomikami. Miłosz, który wtedy przeżywał się z Wilna do Warszawy, również był po rocznym pobycie w Paryżu. Opowiadał nam o swoim stryju, Oskarze Miłoszu, i bardzo mnie dzisiaj urzeka fakt, jak dalece Czesław poszedł śladami swego stryja: podjął studia nad Biblią, zupełnie jak jego stryj, który pod koniec życia był pełnym mistykiem, komentował Apokalipsę i podobno żył jak święty Franciszek, hodując w mieszkaniu mnóstwo fruujących ptaków, które siadały mu na głowie i ramionach. Pamiętam sugestywnie opowieści Miłosza o swoim stryju, pod którego wielkim wrażeniem wrócił z Francji. Wyjeżdżając, zostawiliśmy mieszkanie Miłoszowi, bo nie bardzo miał się gdzie wtedy podziąć

skończonym seansie artysta usłyszał tylko: „No, panie Stanisławie, a ja się na pański warsztat nie dam!” Witkacy był szalenie dumny z tego powiedzonka i opowiadał o tym chętnie, chwając się, że Marszałek poznał się na jego talentach „psychologicznego rozgryzania” modela i że była to dla niego właściwie największa w życiu pochwała.

Jedno spotkanie z Witkacym pamiętałam szczególnie. Było to po zerwaniu Witkacego z moim mężem. Siedem czy osiem lat ich przyjaźni sprowadzało się właściwie do stosunku mistrza i ucznia: Miciński przeżył się ogromnie teorią „czystej formy” i propagował ją. W roku 1937 Witkacy napisał nagle krótki list, jak to zwykle on, że „skreślił Micińskiego z listy przyjaciół”. Mój mąż boleśnie to przeżył, bo zupełnie nie rozumiał, o co chodzi. Po wielu miesiącach zupełnego niekontaktowania się z Witkacym przyszedł kiedyś do domu, opowiadając, iż usłyszał, w jak ciężkiej sytuacji znajduje się Staś, jaki jest przybity, jak maluje dla zarobku portrety po pięć złotych za sztukę, a przecież Bolesław, pracując w Polskim Radiu, mógłby mu pomóc: zorganizowałby mu odczyty w radiu, co podniosłoby Witkacego moralnie i materialnie. Wzruszyła mnie i przejęła ta relacja. Postanowiłam działać. Nic nie mówiąc memu mężowi, powzięłam „odważny” plan i zatelefonowałam do Witkacego, że chciałabym bardzo zobaczyć się z nim w ważnej sprawie. Odpowiedział, o dziwo, że czeka na mnie w domu nazajutrz o dziewiętej rano. Ogromnie

Z magnetofonem U HALINY KENAROWEJ

w Warszawie. Zamieszkał u nas razem ze swoim młodszym bratem Andrzejem. Pamiętam, że opuszczając mieszkanie powiedziałam mu: „Uprzedzam cię, że mamy tu oswojoną myszkę, która z nami zawsze jada śniadania, wcale się nas nie boi i zbiera okruszynki. Bardzo ją lubię, więc opiekuj się nią.” Po trzech miesiącach dostaliśmy w Grenoble list: „Słuchaj, Halina. Twoja jedna myszka to są dziesiątki myszy, widocznie miałaś zły wzrok! Tępie te myszy i zakładam wszędzie pułapki, bo nie mogę wytrzymać!” Miałam wielki żal do Miłosza o te myszy, bo ciągle wierzyłam, że była to jedna i ta sama oswojona myszka; a poza tym moje biurko, które dostalam w wyprawie ślubnej od ojca, wykładane pięknym orzechowym farnirem, było całe w kółka, bo Czesław gołił się przy tym biurku i stawał gorący, żelazny kubek z wodą na pięknym fornirze. Ale poza tym wszystko było w porządku.

Witkacy

Bardzo często ludzie pytają mnie o Witkacego. Któryś z dziennikarzy zadał mi pytanie: „Proszę pani, to przecież był piękny mężczyzna, czy on się do pani nie zalecał?” Na co odpowiedziałam, zaskoczona pytaniem: „Przecież to był pan w wieku mego ojca!” Młodzi ludzie zupełnie młodego pokolenia, ja miałam lat dwadzieścia, kiedy Witkacy był po pięćdziesiącie.

Kiedyś Miciński poprosił Witkacego o zrobienie mego portretu. Byłam wtedy po raz pierwszy u niego w mieszkanie na Brackiej, koło „Braci Jabłkowski”. Portretując mnie Witkacy bardzo sugestywnie opowiadał, jak rysował portret Pilsudskiego. Witkiewicz spokrewnieni byli z Pilsudskimi przez Biliewiczów (czym się Witkacy zawsze chwalił), więc ktoś zaprotegował go do Belwederu, gdzie miał rysować Marszałka. Ów wyszedł podobno w negliżu, przywiał go serdecznie i powiedział, że najpierw chciałby się przyjrzeć „jak to wygląda”, zanim sam będzie pozwalał. Może więc Witkiewicz zechce najpierw narysować jego żonę, panią Aleksandrę.

Pani Marszałkówna siadła do pozowania, a Pilsudski, stojąc za plecami Witkacego, przyglądał się uważnie. Witkacy, jak wiadomo, nie znośił tego, ale tym razem nie śmiał protestować. Po

uradowana, że mi nie odmówił, stawiałam się punktualnie na Brackiej. Znałam mi być jego dziwactwa, wynikające z głęboko ukrywanej nieśmiałości, byłam więc przygotowana na wszystko i postanowiłam nie dać się zbić z pantatyku. Był w szlafroku, pod nosami miał czarny grzebieczek, udując wąsiki, i kosmyk spuszczonego na czoło. Podniósł rękę, przywitał mnie słowem „Heil!” Był to rok 1939. Nie speszona weszłam, a on powiedział: „Niech pani siada i zaczeka, zanim skończę poranną toaletę”. Za parawanem miał umywalkę, wszedł więc za parawan; nagle zaczęły się stamtąd rozlegać dźwięki lewatywy, które oczywiście miały na celu spekszenie przeciwnika. Wszedł jednak zupełnie kto inny: spokojny, uśmiechnięty, dobrze wychowany i żyły, czliwy pan. Usiadł i zapytał, czego sobie życzę. Na co z wielką „kresową” serdecznością powiedziałam: „Panie Staś, nistawie najdroższy! Mój mąż niesłychanie cierpi z powodu zerwania z panem i szalenie się boję, że to może być ja osoba jest przyczyną tego zerwania. Nastąpiło ono przecież niedługo po naszym ślubie. Jeśli ma pan jakiegokolwiek zarzut przeciwko mnie, to proszę, aby nie przenosił pan swych niechęci na mego męża.” Na co Witkacy poderwał się, podszedł do stolika nocnego, wziął książkę „Podróż do piekieł” mego męża i powiedział: „Jest to książka, z którą się nie rozstaje. Książka znakomita, pierwszorzędna. Jestem z niej dumny i bardzo bym chciał, żeby następna była jeszcze lepsza!” — „To dlaczego zerwał pan z Micińskim?” — „Bo obiecał, że przestanie palić fajkę, a pali nadal!” Na co ja: „Panie Stanisławie, to są dziecinne wymówki, niech pan spotka się z Micińskim, on marzy o tym!” Pamiętam, że oczy rozbiły mu radością, i chyba był to JEDYNY wypadek w dziejach zerwań Witkacego, kiedy zechciał z powrotem nawiązać stosunki. Byłam bardzo dumna z tego pośrednictwa, podziękowałam mi za nie mój mąż, kiedy powiedziałam, że Witkacy czeka na niego nazajutrz w „Cristalu” o tej i o tej godzinie. Spotkali się, mój mąż zorganizował mu cztery odczyty w radiu, co go wspomogło i podniosło na duchu.

Na razie wystarczy takie trzy okna; noszę się z zamiarem napisania pamiętników.

Opracował ANTONI KROM

Wydawca H

ZŁOTE MYŚLI

Asekuranci gotowi są nawet na Słońce skierować wąż strażacki, by ostrożniej świeciło.

Michał Salitykow-Szczedrin

Dokręcają śrubę? Nie żałuj wazelin!

Zbigniew Zborowski

Żądamy ośmiogodzinnego dnia myślenia.

Stanisław Jerzy Lec

Konferencja: zgromadzenie ludzi nie mogących indywidualnie nic zrobić, którzy zebrali się, by dojść wspólnie do wniosku, że nie można nic zrobić...

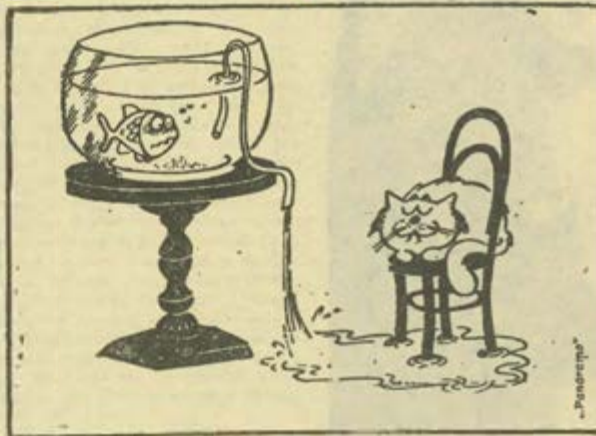
Filip Halen

Częściej stukaj się palcem w czoło przed podjęciem decyzji, a rzadziej będziesz musiał tuc się pięścią w pierś po jej realizacji.

Eugeniusz Korkosz

Rozmaitości

Redaguje Beata Dembowska



Anegdoty

Jeden z przyjaciół skarżył się Molierowi:

— Jestem najniezwyklejszym człowiekiem pod słońcem. Majątek przegrałem na giełdzie, zmarł mi ukochany brat, a na dodatek odeszła ode mnie żona. Czy może mnie spotkać jeszcze coś gorszego?

— Oczywiście, że może — zapewnił go pisarz.

— Na litość boską, co to ma być? — zatrzwoił się nieszczęśnik.

— Może do ciebie wróci żona.

Johann Loewe, kompozytor austriacki, przyjaźniąc się z Johannem Straussem — twórcą słynnych walców wiedeńskich — zagrał kiedyś swoją nową balladę i zapytał Straussa, czy mu się ten utwór podoba.

— Doskonała ta ballada — powiedział mistrz — tylko niektóre fragmenty przypominają mi Mozarta.

— Nie szkodzi! — odrzekł Loewe. — Mozarta zawsze się chętnie słucha...

Przepisaliśmy dla Was

Józef Bielański z Lyczany koło Nowego Sącza dlatego wziął udział w olimpiadzie wiedzy sadowniczej, bo były tam do wygrania talony traktorowe. Niestety, zajął dopiero piąte miejsce i w nagrodę zdobył sześciogodzinny wycieczkę do Bułgarii. Swym rozgoryczeniem Józef Bielański podzielił się z redakcją „Kuriera Polskiego”: Tylko trzech pierwszych otrzymało talony. Szkoda. Tyle się uczyłem. Całymi nocami siedziałem nad książkami. Jak jakiś naukowiec. Jak

bym robił doktorat. Dlaczego? Panie, bo ja muszę mieć traktor. Dlatego ja, prosty chłop, z podstawowym wykształceniem, zrobiłem z siebie naukowca. Zdoylem niesamowitą wiedzę. Kulę, kulę. Wiedziałem, że innego wyjścia nie mam, żeby zdobyć upragnionego C-330. Pan Bielański stwierdził na koniec, że o ile talony będą do wygrania, to wystartuje w następnym konkursie.

Tygodnik „Czas”, z którego przepisaliśmy powyższą wiadomość, opatrzył ją dowcipnym komentarzem. Komentarz pomijamy, bo nam wcale nie do śmiechu.

(akr)

HUMOR z paragrafem

Rozprawa w sądzie przysięgłych w Chicago. Przewodniczący pyta oskarżonego: — Proszę wyjaśnić jak umarła pańska pierwsza żona?

— Zjadła grzyby.

— A druga?

— Zjadła grzyby.

— A trzecia?

— Zabłem ją.

— Dlaczego?

— Bo nie chciała jeść grzybów.

*

Kapelan więzienny do skazanego łodzieja:

— Gdy wyjdiesz na wolność chciałbym ci pomóc.

— Niestety, ksiądz nie może mi pomóc. Mój zawód wymaga ogromnej wprawy.

*

Sędzia do oskarżonego:

— Kilku dziesięciu drobnych oszustów dokonał oskarżony pod różnymi fałszywymi nazwiskami.

— Tak, wysoki sądzie, w sprawach małej wagi posługuję się pseudonimami.

*

— A z czego to świadek ma ten guz na czole?

— To żona wyróżniła mnie drugim totem „Małżeństwa doskonałego”.

WYJĄTEK

Znawcy win w Burgundii, trudniący się zawodowo próbowaniem wszystkich rodzajów trunków, czuli się mocno skrzywdzeni przez fakt, że po pracy nigdy nie mogą wracać do domu samochodami. Zwrócili się więc z prośbą do policji, aby pozwolono im prowadzić samochód nawet wtedy, gdy zawartość alkoholu w ich krwi przekracza dozwolone normy, czyli praktycznie codziennie. Policja, dyplomatycznie, w zasadzie ustosunkowała się do tej prośby pozytywnie.

BYŁ ZEREM?

Za panowania sultana Abdula Hamida II wydane zostało zarządzenie, by ze wszystkich podręczników szkolnych i innych książek usunięte zostały wzory chemiczne wody — H₂O. Ponoć dopatrywano się w tym

CIEKAWOSTKI

aluzji znieważającej królewskiego władcę. Wzór bowiem tłumaczono następująco: Hamid drugi jest zerem.

POCZĄTKI ZWIERCIADŁA

Życie bez luster trudno sobie wyobrazić. Mamy ich pod dostatkiem, a produkcja zwierciadełek nie przedstawia dziś żadnej trudności. Jednak przed 350 laty lustra potrafiono wyrobić tylko w jednym mieście — Wenecji. Tamtejsi rzemieślnicy strzegli swej tajemnicy jak oka w głowie, a według prawa, które sami ustanowili — za zdradę patentu na

produkcję luster groziła śmierć. Wszystkie fabryki luster znajdowały się na wyspie Murano bacznie strzeżonej przed obcymi.

W 1665 r. Francuzom udało się jednak przekupić robotników z Murano i sprowadzić ich do Wersalu. Oznaczało to koniec monopolu Wenecji. Ale nielocalność drogo kosztowała pracowników. Wszyscy zginęli otruci przez agentów nasłanych przez weneckich dożów.

UPRZEJMI

Dyrektorzy wszystkich hoteli w Hongkongu otrzymali list, w którym

powiadano ich w uprzejmym tonie, aby pouczyli hotelowych gości, by nie wpadali w popłoch, gdy spotkają się twarzą w twarz z włamywaczem. „Nasi ludzie — brzmie treść listu — to osoby wybitnie łagodne i posiadające nieprzeciętne kwalifikacje. Nie zamierzają czynić komukolwiek krzywdy, a chcą jedynie zarobić na życie. Proszę więc powiadzić swoim gościom, żeby nam naszykowali pieniądze i biużuterię, a gdy się po nie zjawimy — żeby nie włączali alarmu. W przeciwnym razie nie będziemy mieli innego wyjścia, tylko strzelać. A bardzo tego nie chcemy. Dlatego zwracamy się do Panów o pomoc”. List wystosowano w związku z „pożalowania godnym incydentem”, podczas którego zabity został w hotelu niemiecki turysta, który po prostu nie rozumiał, że nie należy robić trudności kradnącemu jego walizki...

ZADENUNCJOWAŁ ŻONĘ

— To co dzieje się w naszej szkole jest nie do zniesienia — powiedział obywatel włoskiego miasteczka Luca, Francesco Romeo, do dyrektora szkoły. Na dowód tego, że w szkole panuje bałagan, a nauczyciele robią, co chcą, podał on przykład swojej żony, która będąc nauczycielką, każdego dnia spóźnia się do pracy i nikt nie wyciągnął z tego żadnych konsekwencji.

Tym razem konsekwencje były. Nauczycielkę wyłano z pracy, ale ona za to rozwiodła się z mężem-donosiicielem.

WODA POWODEM ROZWODU?

W Stanach Zjednoczonych sąd oddalił skargę rozwodową pewnego inżyniera, który jako powód ciężkiej choroby żony podał, że ta budzi go każdego ranka, kapiąc

Z różnych stron świata

na niego wodę z gąbki. Sędzia stanął na stanowisku, że woda jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

PIENIĄDZE A ISCHIAS

Mogłoby się wydawać, że pieniądze i ischias nie mają nic ze sobą wspólnego — a jednak.

Amerkańscy lekarze, opiekujący się chorymi właśnie na tę dolegliwość, żądają od swych pacjentów, aby ci nie nosili portfela w tylnych kieszeniach spodni, bowiem przy

jeździe samochodem portfel uciska nerw kulszowy i wywołuje może silne bóle. Im bardziej wypchany portfel, tym bóle mogą być większe. Jak wykazała praktyka, fliz samo usunięcie portfela z tylnej kieszeni spodni przynosiło choremu widoczną ulgę.

ŁADNE WOJSKO

Z każdym rokiem coraz więcej kobiet służy w wojsku w USA. Ostatnim bastionem, który zdobyły dla siebie panie, była marynarka wojenna.

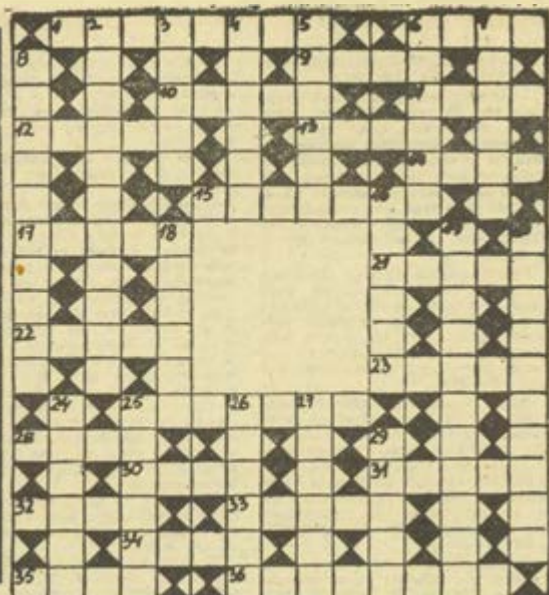
Aby kobiety mogły pływać na niektórych okrętach, trzeba było wydać ponad 10 mln dolarów na budowę damskich toalet, łazienek i sypialni.

W armii USA służy już ponad 120 tys. kobiet. Jeden z generałów powiedział na ten temat — Nie są one gorsze, ani lepsze od mężczyzn, ale za to na pewno ładniejsze.



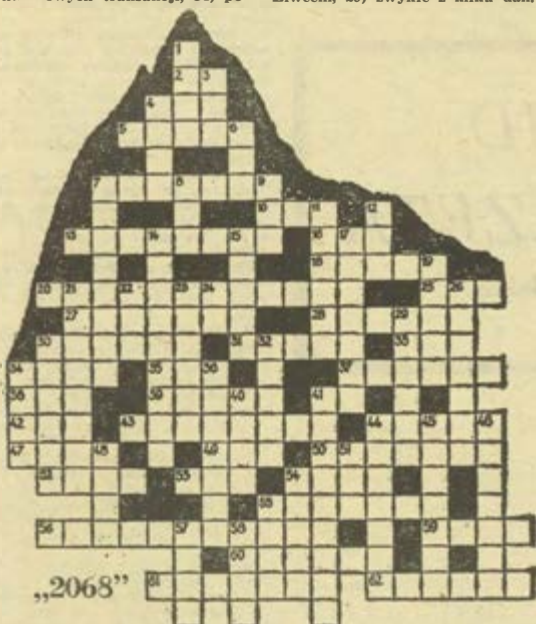
— Czytać z kartki czy improwizować?

Rys. Juliusz Puchalski



POZIOMO: 1) autor „Fantazego”, 6) muzułmański dostojnik, 9) krzew ciernisty o czerwonych owocach, 10) circa 4,5 litra, 11) przepływa przez Saragosę, 12) sprzęt sportowo-turystyczny, 13) ozdobny układ otworów, 14) pierwszy mityczny lotnik, 15) bezułka, 17) owad w powiśkach, 21) nasz pierwszoligowiec piłkarski, 22) noga sarny, 23) noga losia, 25) pokład, złoże, 28) męty, 30) przekrojowy bajkopisarz, 31) filozof angielski prekursor nowożytnego empiryzmu, 32) coś nietypikalnego, 33) miejsce ha: „owych transakcji, 34) podobne do przetaka, 35) rudzielec z piosenki, 36) kawalerska kompania.

PIONOWO: 2) szybkie albo figurowe, 3) na szlaku Czarnej Hańczy, 4) chwala, zaszczyt, 5) imię kompozytora opery „Manru”, 6) rzymska nimfa wód, 7) samica ryby, 8) obiekt z tarczami, 16) kojarzy się z datą 12.10.1492 r., 18) metalowy uchwyt u bramy, 19) gałąź gospodarki rolnej, 20) chroni podudzie hokeisty, 24) region z Gopiem, 25) wystaje z lica ściany budynku, 26) miasto albo kawa brazylijska, 27) miasto nad Liwcem, 29) zwykle z kilku dań.



POZIOMO: 2) bierze raz, 4) ez-Clay, 5) widzisz właśnie jego kształt, 7) zjednuje szacunek, 10) Herakles schwytał Cerbera, 13) nad Dunajcem, 16) obowiązuje po 21 VI, 18) dobrze się tam Polakom wojowało, 20) lgarstwo eleganckie, 25) najmniejszy sztorownik, 27) Staff, 28) sliwka w środku, 30) alkoholowy francuski, 31) na przykład spiz, 33) longa, natomiast vita brevis, 34) szluzowane kolano, 35) do Sawy dopływa, 37) często gubi mowę, 38) angielska mała Anna, 39) milionowe miasto nad Huang-ho, 41) 5 prętów geometrycznych, 42) 49 u Mendelejewa, 43) trudno przejść, 44) bywa w głowie, 47) zlamano groza nie wart, 49) narwali go, naszarpałi, 50) miesiąc objawienia Koranu, 52) pustelnia, 53) agencja informacji bez słów, 54) do arykoncentracji, 55) wielki port blisko równika, 56) 100 lat temu zamiast kabaretu, 59) aktor może ją położyć, 60) grozi zrytowi, 61) brydż lepszy, 62) pracuje ahy płynąć.

PIONOWO: 1) państwo Modibo Keity, 3) zapewniam, że tak, 4) Ela z Melą nie rozmawiają, 6) fijoł, 7) kul, ale nie był kowalem, 8) ssak wielki a beżebny, 9) na przykład wieczernica szczawiówka, 11) hajda, śnieg puszysty, 12) do łamania głowy w szkole, 14) przyjaciel Prosiaczka, 15) przemysłowa dzielnica Poznania, 17) robi brzmienie, 19) gruchnęło o oszustwach, 21) piękny krzew, 22) do oceny głośności, 23) wielka beka, 24) na 100 000 lokatorów, 26) żądne ciekawego grzyba nie ukrywa, 29) rozwielitka, 30) leśnicówka Gałęzińskiego, 32) skutek furii tłumy, 34) sposób na ciós, 36) po drodze z Norymbergi do Stuttgartu, 40) agent nr 1 carskiej ochrony, 41) podróżuje w koszu, 44) lubi mniej lecz wykwinieć, 45) cicho lata i pięknie wygląda, 46) filozofowie o bycie, 48) 100 centesimos, 51) ewierementowa ropucha amerykańska, 54) jachcik mieczowy, 55) sercowy kolor, 57) strzeże się go, kto w piecu pali, 58) stoi i rdzewieje.

HASŁEM POMOCNICZYM jest tym razem czterowzrostowy cytat literacki (pierwsza liczba oznacza numer wyrazu w krzyżówce, liczba po kresce — kolejną literę w tym wyrazie): 50-3, 62-3, 27-5, 28-4, 46-4, 6-3, 36-6, 29-5, 30-1, 13-6, 23-3, 38-2, 54-1, 37-2, 39-2, 12-3, 56-1, 55-6, 10-2, 11-9, 21-6, 11-2, 35-3.

KRAKOWSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO ROBÓT INŻYNIERYJNYCH Nr 2

zatrudni Z A R A Z

na korzystnych warunkach:

- SPAWACZY z uprawnieniami RS-1 i RS-2
- MASZYNISTÓW ciężkich maszyn budowlanych
- BRUKARZY
- BETONIARZY- ZBROJARZY
- CIEŚLI
- ROBOTNIKÓW BUDOWLANYCH
- ŚLUSARZY
- ELEKTROMONTERÓW

Zamiejscowym Przedsiębiorstwem zapewniam zakwaterowanie w hotelach pracowniczych lub kwaterach prywatnych.

Chetni do podjęcia pracy proszeni są o zgłaszanie się w Dziale Zatrudnienia i Szkolenia — Kraków, al. Planu 6-letniego 15.

Dojazd tramwajami linii nr nr 1, 5, 4, 15, 25 i 27.

WYŻSZY PROCENT OD WKŁADÓW OSZCZĘDNOŚCIOWYCH W PKO

NARODOWY BANK POLSKI zawiadamia, że na podstawie uchwały Rady Ministrów z dnia 3 listopada 1980 r., zostaje podwyższone oprocentowanie wkładów oszczędnościowych, ulokowanych na książeczkach oszczędnościowych lokacyjnych bonach oszczędnościowych i rachunkach oszczędnościowo-rozliczeniowych Powszechnych Kas Oszczędności, a mianowicie:

- z dniem 1 grudnia 1980 r. podwyższa się oprocentowanie w stosunku rocznym:
- wkładów terminowych 12-miesięcznych imiennych z 4,5% na 6,5%
- wkładów terminowych 24-miesięcznych imiennych z 5,5% na 6,5%
- wkładów terminowych 36-miesięcznych imiennych z 6,3% na 8,0%
- wkładów systematycznego oszczędzania gromadzonych przez okresy 5-letnie z 6,3% na 8,0%
- wkładów w formie lokacyjnych bonów oszczędnościowych z 7% na 9%.

Wkłady oszczędnościowe, których oprocentowanie podwyższa się z dniem 1 grudnia 1980 r., podlegają podwyższonemu oprocentowaniu także za okres poprzedni, jeżeli koniec zadeklarowanego okresu oszczędzania przypada po dniu 30 listopada 1980 r.

Podwyższenie oprocentowania wkładów systematycznego oszczędzania gromadzonych przez okresy 5-letnie powoduje odpowiednie podwyższenie wysokości należnej premii.

Odsetki od lokacyjnych bonów oszczędnościowych wykupionych przed dniem 1 grudnia 1980 r. podlegają wypłacie w wysokości 9%, jeżeli termin płatności odsetek przypada po dniu 30 listopada 1980 r. Posiadacz bonu, który nie skorzysta z możliwości realizacji odsetek po upływie poszczególnych okresów rocznych i podejmie odsetki po upływie 5 lat, otrzyma odsetki od odsetek za okres 5 lat, obliczone wg rocznej stopy 9%.

Z dniem 1 stycznia 1981 r. podwyższa się oprocentowanie w stosunku rocznym:

- wkładów imiennych płatnych na każde żądanie z 3% na 4%
- wkładów na rachunkach oszczędnościowo-rozliczeniowych z 3% na 4%
- wkładów na książeczkach mieszkaniowych w przypadku rezygnacji z przeznaczenia wkładów na udział w budownictwie mieszkaniowym z 3% na 4%.

K-7987

Rozwiązania krzyżówek z nr 4

Rozwiązanie krzyżówki z hasłem:

DUNAJEC TYGODNIK DLA CIEBIE

POZIOMO: 1) drużyna, 4) kłarnet, 8) Ebro, 9) grot, 11) erg, 13) Tolstoj, 14 sok, 15) hydrant, 16) saga, 17) aga, 18) czop, 23) kaganek, 24) Oka, 25) Iktinos, 26) cis, 27) okap, 28) opis, 30) asonans, 31) skansen.

PIONOWO: 1) drażetka, 2) ule, 3) neogoty, 5) leghorn, 6) nit, 7) kawałka, 10) kserografia, 12) gramatyka, 14) Sosnowiec, 19) Afrodyta, 20) parkapan, 21) kenożółk, 22) Ieksykon, 27) oko, 29) S.O.S.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 2

PIONOWO: 1) Szczawa, 2) kawerna, 4) nakaz, 6) taran, 7) Świebodzice, 8) rozgardiasz, 9) amatorka, 10) pianista, 11) tatarnictwo, 14) Seszele, 16) trawnik, 20) Ludwik, 22) apatyt, 24) Tatry, 25) arbuz, 27) Ryga, 28) skaj.

POZIOMO: 3) szminka, 5) ostrzał, 8) Roztka, 10) projekt, 12) amfibia, 13) Zawisza, 15) antenat, 17) tabun, 18) rewizor, 19) suweren, 21) Amiga, 23) amulet, 25) akapit, 26) agresor, 29) Zawrat, 30) bóstwo, 31) gra, 32) krzyna, 33) jazgot.

HASŁO: „Czytaj Dunajec nie tylko do poduszki”.

✱

W odpowiedzi na list pana Szarka z Grybowa, a także innych czytelników, wyjaśniamy: 1) hasła są pomocnicze — rozwiązanie polega na podaniu wszystkich wyrazów z krzyżówek (ponieważ dotychczas nie zaznaczyliśmy tego wyraźnie, w losowaniu brały udział wszystkie rozwiązania); 2) nadsyłać można oczywiście rozwiązania obu krzyżówek, co więcej, przewidujemy, że dla najwytrwalszych, którzy nadesłali najwięcej prawidłowych rozwiązań, przynależą będziemy dodatkowe nagrody; 3) krzyżówki z tego samego numeru można nadsyłać w jednej kopercie.

Nagrody za rozwiązania krzyżówek z numeru 4 wylosowały: za „krzyżówkę z hasłem” — pani Urszula Śwół z Nowego Sącza, za krzyżówkę nr 2 — pani Maria Pułaczewska z Nowego Sącza i Ewa Pniacek z Chochotowa.

TWOJEMU



dziecku

Zył raz pewien poganiec wielobłądów, który miał syna imieniem Liasid. Kiedy syn miał szesnaście lat, woła go ojciec i rzecze:

— Jestem stary i niedługo będę już żył na świecie. Musisz po mojej śmierci iść w świat i szukać chleba. I wkrótce potem umarł Liasid wyruszył przed siebie w daleką drogę. Przed oazą spotkał starą kobietę. Siedziała ona na piasku i nie miała siły iść dalej, tak była spragniona. Dał jej Liasid wody ze swego bukłaka, starszuszka podziękowała mu gorąco i rzekła:

— Synu mój, idziesz w daleki świat. O jednym pamiętaj: nie odmawiaj pomocy nawet najmniejszemu stworzeniu, które spotkasz na twojej drodze, a wtedy zdobędziesz piękną księżniczkę Iteri.

Liasid poszedł dalej. Zaledwie oddalił się od oazy, gdy otoczyły go ze wszystkich stron mrówki i zaczęły błagać:

— Zlituj się nad nami, nigdzie nie możemy znaleźć nic do jedzenia i przyjdzie nam umrzeć z głodu. Chłopak poszedł do wioski i przyniósł na plecach worek jęczmienia. Mrówki zgłodniałe rzuciły się na pożywienie i kiedy Liasid już miał odejść, zatrzymały go i powiedziały:

— Ponieważ nam uratowałeś życie, musimy ci dać na drogę podarunek. — To mówiąc jedna z nich dała mu małą luskę z grzbietu mrówki-robotnicy.

— Gdy tylko będziesz w niebezpieczeństwie, weź tę luskę i wrzuc ją do ognia, a cały nasz ród pospieszy ci z pomocą — rzekły mrówki. — Dziękuję wam, choć nie wiem, czy człowiek może kiedykolwiek potrzebować pomocy mrówek — rzekł Liasid i poszedł dalej.

Drogę zabiegły mu dzikie świnki. — Drogi Liasidzie, ulituj się nad nami. Daj nam coś do zjedzenia, gdyż niedługo przyjdzie nam umrzeć z głodu — prosiły chłopca żałośnie. Liasid poszedł do sąsiedniej wioski, kupił worek fasoli i przyniósł zwierzętom.

Uradowane świnki nakarmiły od razu swe zgłodniałe dzieci i kiedy już Liasid miał wyruszyć w dalszą drogę, najstarsza z nich rzekła:

— Uratowałeś nam życie, więc i my musimy ci dać coś na drogę. Weź ten wosł z naszej sierści. Kiedy będziesz w niebezpieczeństwie, wrzuc ten wosł do ognia, a wtedy cały nasz ród pospieszy ci z pomocą.

Liasid podziękował za dar, uśmiechnął się i powiedział:

— Dobrze, wezmę ten wosł na pamiątkę, choć nie wiem, czy człowiekowi może pomóc kiedykolwiek dzika świnka.

I poszedł w swoją drogę. Nagle otoczyły go roje pszczoł i zaczęły płakać, i ułazać się przed nim:

— Ach, pomóż nam, kochany Liasidzie, bo inaczej wyginie myszyszkie z głodu. Nigdzie kwiatów nie ma, słońce wszystko spaliło.

Wtedy Liasid poszedł do okolicznej wioski, kupił garnek miodu i przyniósł pszczołom.

Uradowane owady podziękowały mu gorąco za ocalenie i, gdy już miał odejść, rzekła doń królowa:

— Ponieważ uratowałeś nam życie, damy ci na drogę podarunek. Weź to żądło jednej z naszych towarzyszek, i, gdy kiedykolwiek będziesz w niebezpieczeństwie, wrzuc je do ognia, a natychmiast cały nasz ród przyjdzie ci z pomocą, gdziekolwiek będziesz się znajdować.

— Dziękuję wam za dar, wezmę go na pamiątkę, choć doprawdy nie uobrażam sobie, bym kiedykolwiek miał prosić was o pomoc — odparł Liasid.

Wziął żądło pszczoły, schował razem z luską mrówki i sierścią dzikiej świnki i poszedł w dalszą drogę. Wszędzie pytał ludzi o pałac księżniczki Iteri, lecz nikt nie mógł mu wskazać drogi.

LIASID I ZWIERZĘTA

(Baśń kabałska)

Nagle ujrzał orla na skale. Gdy zbliżył się do niego, orzeł rzecze:

— Ach, pomóż mi, chłopcze, i widzę nam śródgłomne złamane i nie mogę upolować dla siebie i dla moich dzieci. Niedługo umrzemy z głodu.

Liasid udał się do sąsiedniej wioski, kupił kawał mięsa i powrócił do gniazda orla.

Orzeł uradowany nakarmił swe młode, sam się też posilił i mówi:

— Uratowałeś życie mnie i moim dzieciom. Weź to pióro z mego ogona. Jeśli będziesz w niebezpieczeństwie, wrzuc je do ognia, a wtedy zjawię się z całym moim rodem i pomogę ci.

Liasid wziął pióro, schował w zanadrze i rzecze:

— Dziękuję ci, drogi orle, za twój dar, schowam go na pamiątkę, choć sądzę, że nie będę potrzebował twój pomocy. Jakżeby plak mógł pomóc człowiekowi!

I poszedł Liasid w dalszą drogę szukać pałacu księżniczki Iteri, o którym mu powiedziała starszuszka spotkana przed oazą.

Po długiej wędrówce znalazł się w pięknym górskim kraju. Królestwem kraju był ojciec księżniczki Iteri.

Liasid udał się do pałacu króla i rzecze:

— Jestem Liasid, syn Alego, przyszedłem tutaj przez góry i pustynie, bo usłyszałem o piękności twojej córki. Co mam uczynić, by stała się moją żoną, królu?

Króla zdumiała odwaga wędrowca, pomyślał chwilę i mówi:

— Dobrze, widzę, że prostą drogą zmierzasz do celu. Otrzymasz moją córkę, młodzieńcze, tylko wtedy, jeśli spełnisz następujący warunek: — Wiesz, że spichrz przed zamkiem? Pełno w nich pszenicy i żyta, ale ziarna są ze sobą pomieszane. Chcę, abyś do jutra rana tak uporządkował spichrz, by po jednej stronie leżały ziarna żyta, a po drugiej ziarna pszenicy.

Liasid spojrzal na trzy olbrzymie budynki, wznoszące się na połu przed zamkiem, usiadł na kamieniu i z rozpaczą myślał, że piękna królewna Iteri nigdy nie będzie jego żoną, gdyż to zadanie, jakie mu rozkazał spełnić jej ojciec, było nad siły człowieka.

Nagle przypomniał sobie o podarunku, jaki otrzymał od swych przyjaciółek mrówek. Szybko wziął luskę, spalił ją w ogniu i w okamgnieniu zjawili się ogromne roje mrówek, które otoczyły go dookoła i czekały jego rozkazów. Opowiedział im o swym kłopotcie i natychmiast mrówki pospieszyły do spichrzów i jęły się pracy.

W pyszczkach nosiły ziarenka żyta i pszenicy i składały je na stosach: osobno żyto, osobno pszenicę. Uwiłajały się tak gorliwie i było ich tak dużo, że nad ranem spichrze były uporządkowane.

Równiutkie, żółte stopy pszenicy leżały po lewej stronie budynków, a po prawej wysoko aż pod pułap leżało żyto.

Wtedy mrówki pożegnały swego przyjaciela, a odchodząc jedna z nich rzekła:

— A widzisz, chłopcze, że i mała mrówka może się na coś przydać człowiekowi!

— A widzisz przyjacielu, że i dzikie świnki mogą czasem pomóc człowiekowi!

Liasid podziękował im gorąco i dzikie świnki pognały lasem do domu.

Kiedy rannem król znalazł się w gaju figowym, zdumiał się i powiedział:

— Jeśli spełnisz jeszcze jedno moje polecenie, wtedy oddam ci moją córkę Iteri za żonę. Chcę, by do rana połowa dachów w mojej wiosce była biała od śniegu, a połowa by pozostała czarna. Jeśli ci się to uda, staniesz się godny być jej mężem.

To mówiąc oddalił się król do swego pałacu. Liasid pozostał sam w gaju i smutny rozmyślał nad utratą swego szczęścia. Przecież to niemożliwe, czego żąda król! Żaden człowiek tego nie zdoła dokonać, by w lecie sprowadzić śnieg na dachy i to nie na wszystkie, a tylko na połowę. Po prostu król nie chce oddać mu swojej córki za żonę i dlatego wymyślił takie niemożliwe do wykonania zadanie.

Liasid był już bliski rozpacz, gdy nagle zaświtała mu jakaś myśl. Wyjął z zanadru pióro orla, rzucił do ognia i spalił.

W mgnieniu oka usłyszał łopot ogromnych skrzydeł. To cały ród orłów przybywał z pomocą swemu przyjacielowi.

Gdy się plaki dowiedziały o rozkazie króla, naradziły się między sobą i, wzniósłszy się w powietrze, rzuciły po piórze na połowę dachów wioski. Biel orlich piór pokryła wnet strzechy jakby śnieżną powłoką, gdyż orłów było tysiące. Druga połowa wioski zaś miała dachy czarne.

Uradowany Liasid podziękował gorąco orłom, a wtedy najstarszy wiekierm rzekł:

— Wiesz, drogi przyjacielu, że czasem i plaki mogą pomóc człowiekowi.

I orły rozpostarły skrzydła i zaczęły na pożegnanie koło nad głową Liasida i uleciały do swych gniazd.

Nazajutrz, kiedy zjawił się w wiosce król i ujrzał, że połowa dachów spowita była białym śniegiem, a druga pozostała czarna, zdumiał się i rzecze:

— Jutro ujrzesz moją córkę, Iteri. Znajdziesz ją wśród gromady niewiast z zasłonami na licach. Jeśli poznasz, która jest z nich królewną — zostanie twoją żoną.

Smutny wrócił Liasid do swej izdebki. Jakże on rozpozna królewnę między gromadą zakwieconych niewiast, kiedy jej ani razu nie widział?

Wtedy przypomniał sobie o podarunku, jaki mu ofiarowały pszczoły. Wyjął żądło pszczoły, wrzucił je do ognia i spalił. Natychmiast zjawiała się królowa pszczoł i zaczęła brzęczeć nad głową młodzieńca.

— Dlaczego się smucisz? — zapytała.

Wtedy Liasid opowiedział królowej pszczoł o swym zmartwieniu. Już tylu rzeczy dokonał, a właściwie dokonały ich jego przyjaciele — mrówki, świnki i dzikie i orły, ale teraz to już naprawdę nie ma nadziei.

— Ależ nie łatwiejszego! Nie martw się nic, mój chłopcze. I małe pszczoły potrafią pomóc także człowiekowi. Gdy tylko zjawi się na dziedzińcu orszak służebnic, wtedy uważaj: będziemy kraść i brzęczeć nad głową królowej i po tym poznasz ją wśród innych kobiet.

Z tymi słowy królowa pszczoł zniknęła w powietrzu.

Następnego dnia stanął Liasid na dziedzińcu królewskim i z biciem serca czekał na zjawienie się Iteri. Wtem z wrot pałacu wysunął się cicho biały orszak kobiet w czarnych zasłonach na twarzach. Stącały one wszystkie przed młodzieńcem.

Wtedy Liasid zauważył, że nad głową jednej z niewiast unosi się jakby jałosa złocista mgiełka. Były to pszczoły, których skrzydła wirując brzęczały w słońcu i tworzyły nad królową złotą koronę.

Bez wahania podszedł Liasid w stronę tej niewiasty i powiedział:

— Poznaję cię, o piękna Iteri! Zdamy ci król uścisnął Liasida, oddał mu swą córkę za żonę. Odbyło się huczne wesele i oddał już Liasid szczęśliwie na dworz królewskim wraz ze swą małżonką Iteri.

PIĄTEK

PROGRAM I

15.50 Program dnia;
15.55 Obiektów;
16.15 Dziennik;
16.30 Dla dzieci: „Piątek z Pankracyn”;
17.25 „Dzień dobry w kręgu rodziny”;
7.25 Jan Sebastian Bach — Sonata D-dur;

17.40 „Tajemnica Enigmy” (2) — film
18.40 Rolnicze rozmowy;
18.50 Dobranoc;
19.00 Telewizja Młodych przedstawia: Aneks do historii;
19.30 Dziennik;
20.10 „Jedenastka Studia Gama”;
21.15 „Listy o gospodarce” — program publicystyczny;
21.55 Dziennik;
22.10 Teatr Telewizji: Edward Neyman — „Kiedy się ze mną podzielił”, reż. Ryszard Bugajski;
23.15 Filmołeka Arcydziel — „Piękność dnia” — franc. dramat obycz.;

PROGRAM II

10.00 „Siedemnaście mgieł wiosny”, serial TV ZSRH;
11.20 „Uśmiech spod parasola” — program rozrywkowy;
11.50 „Tajemnica Enigmy” (2);
12.45 „Kurtyna w górę” — magazyn aktualności teatralnych;
15.55 Program dnia;
16.00 Jęz. francuski, kurs. podst. lek. 7;
16.30 Jęz. rosyjski, kurs. podst. lek. 7;
17.00 Kino Telewizji Dzieciątka i Chłopcy: „Kino Obieżyświat”;
17.30 Jazz Jamboree 80” w opinii dziennikarzy;
18.10 Male kino — „Labirynt” — reż. Jan Lenica, „Klatki” — reż. Mirosław Kijowicz;
18.25 „Kurtyna w górę” magazyn aktualności teatralnych;
19.10 KRONIKA (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.10 „Konstancja wychodzi z morza” — obyczajowy film tv francuskiej;
21.15 24 godziny;
21.25 „To było o nas”: „Nowi z Nowin” — reportaż filmowy;
22.00 „Dzień jak o dzień” — film dok. TV radzieckiej;
23.00 Jęz. francuski, kurs. podst. lek. 7;

SOBOTA

PROGRAM I

6.00, 6.30 TTR;
8.55 Program dnia;
9.00 „Radar”;
9.15 „Estrada folkloru”;
9.45 „Klub sześciu kontynentów”;
10.35 „Wspomnienie z Dusznik” — reportaż z Festiwalu Chopinowskiego;
11.10 „Człowiek, Ziemia, Kosmos”;
11.40 Dziennik;
12.00 STUDIO-2;
18.50 Dobranoc;
19.00 STUDIO-2 (cd.)
19.30 Dziennik;
20.10 „Michał Strogow” (2) — film historyczno-przygodowy TV francuskiej;
21.45 Dziennik;
21.55 STUDIO-2 (cd.);
22.00 Kino nocne: „Waszyngton za zamkniętymi drzwiami” (4);
23.25 STUDIO-2 (cd.).

PROGRAM II

14.35 Program dnia;
14.40 Koncert symfoniczny: Gustaw Mahler — 2 symfonia c-moll;
15.10 „Uśmiech spod parasola” — program rozrywkowy;
16.40 „Holendrzy walczą z morzem” — film dok. prod. USA;
17.35 „Siedemnaście mgieł wiosny” — serial TV radzieckiej;
19.10 KRONIKA (Kr.)
19.30 Dziennik;
21.10 „Szpargali mojej żony” — program rozrywkowy
21.45 Film fabularny;
21.55 Poezi recytują — Anna Pogonowska.

TV BRATYSŁAWA

9.25 „Znak orla” (11);
9.55 „Wiatr wędrownik” — film radz.
13.10 „Młode lata Karola Marksa” (4);
16.00 Puchar Interwizji;
18.30 Wieczorynka;
18.50 „A teraz się rozstrzygnie” (7);
19.30 Dziennik TV;
20.00 S. Doleżalowa: „Głos krwi” — komedia TV;
21.00 Festiwal tańca i przyjaźni;



21.XI-27.XI

22.20 „Żelazny szef” — włoski dramat film.

NIEDZIELA

PROGRAM I

6.20, 6.50, 7.20 TTR, RTSS;
7.40 Emerytury dla rolników;
7.50 Nowoczesność w domu i zagrodzie;
8.20 Telewizja
8.55 Program dnia;
9.00 Teleranek;
10.20 Antena;
10.50 Reportaż filmowy;
11.15 Piotr Czajkowski — retransmisja koncertu symfonicznego z Filharmonii Narodowej w Warszawie;
12.00 Piłka nożna: Stal Mielec — Śląsk Wrocław;
12.55 Dziennik;
13.15 „Gdy się powiedziało A...”;
13.45 Dla dzieci: „Czarodziejska lampka Aladyna”, wid. teatralne;
14.45 „Z kamerą wśród zwierząt”;
15.25 Telewizyjny koncert zyczeń;
16.10 Losowanie Dużego Lotka;
16.25 „Piórkoch i węglem”;
16.50 „Tele-echo”;
17.50 Puchar Interwizji w gimnastyce artystycznej;
19.00 Wieczorynka;
19.30 Dziennik;
20.10 „Henryk IV — król Francji” (3) — film hist. TV francuskiej;
21.10 Sportowa niedziela;
21.40 „Z muzyką przez lata” — program publicystyczno-muzyczny

PROGRAM II

10.15 Program dnia;
10.20 „Krótkofalowcy” — progr. wojsk.;
10.50 Przeboje tygodnia;
12.20 „Życie na Ziemi” (6) — serial popularno-naukowy;
13.20 „Tuzin” — teleturniej;
14.10 „Kino bez granic”: „Do Bako na tamten brzeg” — prod. senegalskiej;
16.15 Teatr Telewizji, Juliusz Słowacki — „Kordian”;
18.00 Program muzyczny;
19.00 Nagrodzone na festiwalu — „Jedyna” reportaż;
19.30 Dziennik;
20.10 Sport;
21.05 Hallo „Warszawa” — program rozrywkowy;
21.45 W starym kinie: „Kochana rodzinka” — komedia produkcji USA,
22.55 Bajka dla dorosłych „Pare funtów szczęścia”.

TV BRATYSŁAWA

11.00 Decydujący front” (6);
13.40 Sztuka filmowa W. Jegocowa;
14.00 Puchar Interwizji;
16.00 W tanecznym wirze;
17.10 Film fabularny;
18.30 Wieczorynka;
18.40 Sprytniejszy wygrawa;
19.30 Dziennik TV;
20.00 Niedzielną chwilą poezji;
20.05 „Wież 2. Avenue” — film ameryk.;
21.40 Dni sztuki i piękna;
22.25 Przegląd ligowy.

PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

13.30, 14.00 TTR, RTSS;
15.20 NURT: psychologia;
15.50 Program dnia;
15.55 Obiektów;
16.15 Dziennik;
16.30 Dla dzieci: „Zwierzyniec”;
16.55 „Dzień dobry w kręgu rodziny”;
17.20 „Klinika zdrowego człowieka”;
17.45 „Arsene Lupin” (3) — fr. film
18.40 Rolnicze rozmowy;
18.50 Dobranoc;
19.00 Echa stadionów;
19.30 Dziennik;
20.10 Teatr Telewizji: Juliusz Słowacki — „Kordian”;
21.55 „Horyzont”;
22.25 Dziennik;
22.40 „Śledztwo zostało wznowione” — cz. 1.

PROGRAM II

10.00 „Klinika zdrowego człowieka”;
10.30 „Gorący wiatr czyli kobieta mojego życia” — jugosł. komedia filmowa;
11.30 Program dnia jugosłowiańskiego w TP;
12.30 „Śledztwo zostało wznowione”;
15.30 Program dnia;
15.35 Jęz. niemiecki, kurs. podst.
16.00 Jęz. angielski, kurs. dla zaawansowanych, lek. 2;
Dzień jugosłowiański w Telewizji Polskiej
16.30 „Portret współczesny” — Jugosławia 1980 roku — reporterskie relacje i rozmowy z gośćmi z Jugosławii;
17.05 „Dwa spotkania z Kragujevcem” — historia i współczesność jednego z bardziej znanych miast Serbii;
17.25 „Cyryl rockowy” (1) — program rozrywkowy;
17.40 „Oferta — 80” — prezentacja współpracy polsko-jugosłowiańskiej w dziedzinie gospodarki;
17.50 „Filmy z wystawy” — prezentacja najpopularniejszych turystycznych regionów Jugosławii;
18.00 „Neretwa — rzeka mojego życia” — film. dok.;
18.25 „Sarajewo 84” — reportaż o mieście — gospodarzu zimowych Igrzysk Olimpijskich 1984;
18.50 „Cyryl rockowy” (2);
19.30 Dziennik;
20.15 „Zaproszenie do Kafany” — kultura Jugosławii i jej twórcy;
21.25 „Moja generacja” — program rozrywkowy;
21.55 24 godziny;
22.05 „Gorący wiatr czyli kobieta mojego życia” — komedia filmowa;
23.05 Jęz. niemiecki, kurs. podst.

WTOREK

PROGRAM I

6.00, 6.30 TTR, RTSS;
9.55 Program dla kl. 1-3 „Czerwone, żółte, zielone”;
12.50 Dla szkół: rodzina współczesna, kl. 1-2 lic. „koleżństwo, przyjaźń”;
13.30, 14.00 TTR, RTSS;
15.50 Program dnia;
15.55 Obiektów;
16.15 Dziennik;
16.30 „Telewizyjny Klub Seniora”;
16.55 Telewizja Młodych przedstawia: — magazyn c.d.n.;
17.35 „Krolik Bugs przedstawia” — film anim.;
17.55 „Interstudio”
18.40 Polska Kronika Filmowa;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Skarbiec” — dwutygodnik hist.;
19.30 Dziennik;
20.10 „Syberia” (2) — radz. dramat hist. reż. Wiktor Ryzkow;
21.45 „Czy możemy się wyżywić”;
22.15 Dziennik;
22.30 „Dwa dni w Lusławicach” — filmowa relacja z I Festiwalu Międzynarodowego „Kwartet smyczkowy”, zorganizowanego przez Krzysztofa Pendereckiego w Lusławicach.

PROGRAM II

10.00 „Interstudio” — reforma gospodarcza;
10.45 „Syberia” (2) — dramat hist.;
12.15 „Mój koncert”: Eryk Lipiński;
15.30 Program dnia;
15.35 Jęz. angielski, kurs. podst.
16.05 Jęz. niemiecki, kurs. podst.
16.30 Dla dzieci: „Kino telewizji najmłodszych”;
17.00 „Mój koncert”: Eryk Lipiński;
18.00 Młodzieżowy magazyn techniki — „Lidar”;
18.30 „Program na dziś i jutro”;
19.00 Piosenki tygodnia;
19.10 KRONIKA (Kr.)
19.30 Dziennik;
20.10 Wtorek melomana;
21.00 24 godziny;
21.10 „Bez recepty” — rozmowy o wychowaniu — alkoholizm wśród dzieci;
21.40 Filmołeka narodowa — filmy Andrzeja Wajdy — „Kanal”;
23.10 Jęz. angielski, kurs. dla zaawans.

ŚRODA

PROGRAM I

6.00, 6.30 TTR, RTSS;
9.00 Dla szkół: chemia, kl. 7;
9.50 Dla szkół: fizyka, kl. 7;
11.55 Dla szkół: fizyka, kl. 8;
13.30-14.00 TTR, RTSS;
15.20 NURT: matematyka;
15.50 Program dnia;
15.55 Obiektów;
16.15 Dziennik;
16.30 Dla dzieci: — „Michalki”;
16.55 „Dzień dobry w kręgu rodziny”;
17.20 „Tele-gol” — magazyn piłkarski;
17.45 Losowanie Express Lotka i Małego Lotka;
17.55 „Klub dobrej książki”;
18.20 Turystyka i wypoczynek;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Camerata”;
19.30 Dziennik;
20.10 „Bractwo Kurkwe” — historia i współczesność;
20.25 Puchar UEFA: Ipswich Town — Widzew Łódź;
22.20 Dziennik;
22.35 „Proscenium”

PROGRAM II

10.00 „Ekran reporterów”;
10.35 Sprawy młodych „Spóźnione uczucia” — współcz. dramat obycz.;
12.15 „Stopklatka” — magazyn filmu telew.;
12.45 „Tele-gol” — magazyn piłkarski;
15.50 Program dnia;
15.55 Jęz. angielski, kurs. dla zaawans.;
16.25 Jęz. angielski, kurs. podst.;
16.55 Program morski;
17.25 „Słowa za słowa” — Stowarzyszenie tłumaczy polskich;
17.55 „Ekran reporterów”;
18.25 Wieczoryn historyczne: „O skutecznym rad sposobie”;
19.00 Piosenki tygodnia;
19.10 KRONIKA (Kr.)
19.30 Dziennik;
20.10 Sprawy młodych: „Spóźnione uczucia” — współcz. dramat obycz.;
21.50 24 godziny;
22.00 „Stopklatka” — magazyn filmu telew.;
22.30 „Wieczorne rozmowy w kręgu rodziny”;
23.00 Jęz. angielski, kurs. lek. 8.

CZWARTEK

PROGRAM I

6.00, 6.30 TTR, RTSS;
9.00 Dla szkół: historia, kl. 6;
9.55 Dla szkół: język polski kl. 7;
11.55 Dla szkół: nauka o człowieku;
13.30, 14.00 TTR, RTSS;
15.20 Program dnia;
15.25 Dla młodych widzów: „Decyzje piętnastolatków”;
15.55 Obiektów;
16.15 Dziennik;
16.30 Dla młodych widzów: „Czwartek TDC”;
17.30 Magazyn motoryzacyjny;
17.55 Telewizja Młodych przedstawia: Decyzja;
18.20 Magazyn lotniczy;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Sonda”;
19.30 Dziennik;
20.10 „Powrót świętego” — „Łańcuch śmierci” serial kryminalny;
21.00 „Pezag”;
21.50 „Dwie strony medalu” — publ.;
22.20 Dziennik;
22.35 Opowieści wawelskie prof. Sza-browskiego — „Trzy rotundy”

PROGRAM II

10.00 Puchar UEFA: Ipswich Town — Widzew Łódź;
11.35 „Brygady Tygrysa” — „Sprawa Valentina” — film kryminalny;
12.30 „Sonda”;
15.55 Program dnia;
16.00 Jęz. rosyjski, kurs. podst., lek. 8;
16.30 Jęz. francuski, kurs. podst., lek. 8;
17.00 Kosmos — zmysły;
19.00 Piosenki tygodnia;
19.10 KRONIKA (Kr.)
20.10 NURT: pedagogika;
20.40 NURT: psychologia;
21.10 24 godziny;
21.20 Filmy faktu „Zaczęło się od...”
22.00 „Korkociąg”, film;
22.15 „Psychodrama”, film;
22.45 NURT: matematyka;
23.15 Jęz. rosyjski, kurs. podst., lek. 8.

Ze zmiany w programie wprowadzone w ostatniej chwili redakcja nie bierze odpowiedzialności.

DUNAJEK — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Krzysztof Dobosz (sekretarz odpowiedzialny), Adam Garbicz, Elżbieta Glinka (zastępca redaktora naczelnego), Antoni Krob, Jerzy Leśniak, Adam Ogórzalek (redaktor naczelnny), Krzysztof Podolera (redaktor techniczny), Stanisław Smierciał (doreporter). Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. St. Żółkiewskiego 11. Telefony: 238-36, 238-90. Teleks: 0322748. Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 58, telefon 203-29, 275-88 wewn. 233. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk: Zakłady Poligraficzne RSW w Krakowie, ul. Wielopole 1. Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2, 31-007 Kraków, telefon: 270-89, oraz wszystkie Biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Informacji o warunkach prenumeraty udziela oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrali i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 208 zł. Prenumeratę ze zniżką przysługującą za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139. Nr prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Nr indeksu 35657. H-14



Paciorki jednego różańca

Film, który zdobył główną nagrodę na tegorocznym festiwalu gdańskim we wrześniu, powinien być — teoretycznie — znany polskim widzom od kwietnia: miał swoją premierę ekranową. Trudno jednak o lepszy przykład tego, jak oficjalnie dane o wielkości dzieł naszego życia różniły się w ostatnich latach od rzeczywistości: PACIORKÓW JEDNEGO RÓŻAŃCA po prostu nie można było zobaczyć, choć dzieło Kazimierza Kutza przeznaczono do normalnego rozpowszechniania, a nie do tego wędrownego, czyli studyjnego, w którym jedna czy dwie kopie wędrują po kolei przez wszystkie województwa, co trwa czasem i trzy lata.

Aby odkryć powody losu PACIORKÓW, nie trzeba było nawet filmu oglądać: wystarczyło poznać reakcje sali po projekcji festiwalowej. To był wybuch entuzjazmu i wzruszenia, który nie pozostawiał wątpliwości co do wspólnoty odczuć ludzi z Wybrzeża i filmowców z nastrojem opowieści Kutza. 14 września gdański MKZ w liście do dyrektora festiwalu serdecznie pogratulował autorom PACIORKÓW. 14 września eksperci z jury zgodzili się w opinii „Solidarności” i opinii sali.

Zrozumiałe, że rytmowa społeczna film, który tak podobał się we wrześniu w Gdańsku, zupełnie nie mogła się po-

dobąć w kwietniu w Katowicach. W Katowicach: bo film Kutza jest filmem o współczesnym Śląsku, o rujnowaniu tamtejszej tradycji kulturowej przez narzucających dyktando spoza regionu, o lekceważeniu praw jednostki w imię tak zwanej korzyści ogółu, o niszczeniu ludzkiej więzi, o stosowaniu wobec klasy robotniczej zasady marteckiej i basty. Najniebezpieczniejsze dla śląskiej władzy było to, że wszystko z filmu wynikało — szczególnie dla mieszkańców regionu — ale niczego konkretnie nie można było Kutzi zarzucić: ani fałszu, ani dywersji, ani nieodpowiedzialności.

Zastosowano więc chwyt. Najpierw szukaną i przetrzymywanie gotowego filmu; jednakże w obronie PACIORKÓW stanął odpowiedzialny za sprawę kinematografii wiceminister Juniewicz. Potem katowicką premierę uznaczono perfidnie na Wielki Piątek (jak o różańcu, to będzie okolicznościowe — no nie?), postawiono idiotyczną w tym wypadku granicę wielu od 18 lat (we wrześniu zmienioną na 12), a po kraju poszły telefony, że wielce, rozumiecie, niekorzystny to może mieć oddźwięk, społeczeństwo nie rozumie, przyhamujcie...

Hamowano. Film poszedł kompletnie bez reklam, bez plakatów, bez zapowiedzi, w niektórych województwach

nie pokazano go w ogóle. Nie wywołał też, jak — przykładowo — WODZIREJ, gorączkowo powtarzanych szeptów typu: ale doszli... Nie wywołał, bo fest to film ściśle podporządkowany swej idei, bardzo śląski (co niechętnie przyjmuje trzy czwarte kraju), bardzo skromny i naprawdę mądry. Kibice kinowi mówią w podobnych przypadkach: nuuda. Fachowi recenzenci z obowiązku patrzą, ale na oślep nie starczą im cierpliwości, aby odróżnić samodzielnie to, czego nie odtrąbiła wcześniejsza opinia oficjalna. Wobec tego fachowi recenzenci filmu nie zauważali i nie pojmywali tragicznej ironii nieoczekiwanego zwrotu finałowego — za to znalazła się drużyna nagotowia hokerskiego do lania „niesłusznie” myślenia oraz, niestety, paru znanych z nazwiska krytyków, którym się już zaczynało wszystko mętnieć.

Prawda: niektóre Okręgowe Przedsięwzięcia Rozpowszechniania pokazywały film Kutza względnie uczciwie i należy do nich krakowskie — ale, z powodów wyżej wymienionych, prawie nikt się na PACIORKI nie nastawiał i prawie nikt nie wie, że były w czerwcu w Nowym Sączu. Potem film zapomniał. Odżył po Gdańsku. W początkach października odwiedził Zakopane i Nowy Targ. Teraz zobaczy go Krynica.

Jego wielkością, jego siłą jest mistrzowskie przedstawienie prawdziwego, zwykłego detalu, który równocześnie ma funkcję rzeczową i funkcję symboliczną: domek bohaterów na tle bloków mieszkaniowych jest zarazem Polską robotniczą tradycją sprzed pół wieku na tle Polski „bunkrowców”; willa cała swoją stycznością oddaje psychiczny efekt wyobcowania „elity” i bezsensu „funkcjonalności” tych pomieszczeń w oczach prostego człowieka; ziemniaczane obiekty przywołują całą atmosferę starego śląskiego gospodarstwa domo-

wego. To samo ze świętymi obrazami na ścianach. To samo z akcentem wymowy. To samo ze słowami, które padają w dialogach: „ty stara demokracjo”, „za nieboszczyki Polski”, „bezbożniku” (tak mówi czuła pani Habrykówna do swojego męża-ateisty), „anarchista” (tak nazywa pana Habrykę dyrektor kopalni, z pochodzenia „Polak centralny”). bo pan Habryka nie chce się wyprowadzić z własnego rodzinnego domu do „betonowej szuflady”. Kiedy to słyszysz — on, emerytowany górnik wielkich zasług, „drugi po Pstrowskim” — idzie do szafki biblioteczeki, sprawdza, co też to słowo dokładnie znaczy, po czym — jako anarchista — wyrzuca dyrektora za drzwi.

Zanim jeszcze Habryka zrobił z dyrektorem, co mu sumienie dyktowało, prowadził z nim dyskusję jak marksista z marksistą. I okazało się, że to on, przedstawiciel klasy robotniczej, potrafi przeważać argumentami i cytatami z „Jego z brody” rzekome socjalistyczne racje swojego adwersarza. Bo ustrój sprawiedliwości społecznej to przecież ustrój sprawiedliwości dla każdego człowieka. To ustrój tolerancji i poszanowania potrzeb indywidualnych.

O to chodzi w pięknym filmie Kutza, który uprawdnie w Gdańsku bronił się przed wynoszeniem go na pomnik („...dlaczego wszyscy chcą że mnie zrobić proroka?”), ale który z serca powiedział, co powiedzieć było trzeba. Z mojego opisu można wnioskować, że w PACIORKACH chodzi o publicystykę. Otóż nie: ten film nie jest na potrzeby doraźne. Będzie żył jeszcze po wielu latach. Będzie żył jako ballada o człowieku stanowiącym — i jako świadectwo lat siedemdziesiątych. Będzie żył jako artystyczny obraz myśli, że wszyscy Polacy, ci którzy są i którzy byli, robotnicy i dyrektorzy, chłopcy i inteligenci, wierzący i niewierzący, są paciorkami jednego różańca.

Helena Sulowska-Pawlik studiowała na ASP rzeźbę i tkactwo artystyczne, a niewiele brakowało, by uzyskała trzeci dyplom — na wydziale grafiki. Obecnie zajmuję się prawie wyłącznie tkaniną; ale fakt, że artystka jest rzeźbiarką, graficzką i tkaczką, że ma dużą biegłość w kilku dziedzinach sztuki plastycznej, odbiło się bardzo wyraźnie na stylistyce jej prac. Wielostronność warsztatowa, swoboda w opanowaniu różnorodnych technik, bogactwo artystycznego widzenia wydały owoce. Sulowska dokonała rzeczy zadawaloby się niemożliwe: zbliżyła do siebie gałki plastyczne tak odległe, jak tkanina i rzeźba — aż do tego stopnia, że jej tkaniny bez większej przesady nazwać można „tkaninami rzeźbionymi”. Środkiem wyrazu artystycznego jest w nich nie tylko format, kompozycja barwna, faktura i inne cechy tkaniny — ale również trójwymiarowość, przestrzenność.

Owo interesujące, nieczęste zjawisko przesłodzić można choćby na przykładzie pracy „Redyk”, w której uwydatnił się kunst i wielostronność autorki. Natura-

lizm i symbolika jednocześnie — „Jan” stada owiec w oddali i sylwetki, wychodzące z tła, na pierwszym planie. Drewniane, rzeźbione lby owiec i wykorzystanie do granic możliwości wolorów ekspozycyjnych welny. (Zdjęcie „Redyku” obok).

Tak jak o „Redyku”, tak i o wielu innych pracach Heleny Sulowskiej-Pawlik powiedzieć można, bez obawy popadnięcia w przesadę, że to prace wybitne. Lecz niezależnie od osobistych gustów widzów, które przecież mogą być różne, rzucić się w oczy jedna, bardzo istotna rzecz — autorka wciąż na nowo rozwiązuje problemy formalne, jak gdyby uczyła się wciąż od nowa, starając się jednocześnie wykrzystać i odrzucić swoje dotychczasowe doświadczenia. Stąd wielka różnorodność — od dzieł stonowanych do jaskrawych, od kameralnych do monumentalnych, od tradycyjnych do barzo nowoczesnych.

Rzeźby Władysława Pawlika, artysty związanego od wielu lat z zakopiańskim Liceum Sztuk Plastycznych (najpierw jako uczeń, a od 1966 r. jako pedagog) robią



Helena Sulowska-Pawlik — „Redyk”

Antoni Kroh

Pawlikowie

duże wrażenie przede wszystkim ze względu na ich maksymalnie syntetyczną, uproszczoną formę. Sztuka Pawlika polega między innymi na trudnym, bezkompromisowym odrzuceniu elementów niepotrzebnych, maksymalnym unikaniu „przegadania”. Pozostają tylko sprawy najistotniejsze. Szacunek i budzi wszechstronność artysty, jego swoboda w uprawianiu różnych technik — form małych i dużych, medalierstwa, ceramiki, rzeźby w drewnie.

Małżeństwo Pawlików — to uzupełniające się wzajemnie dwie duże indywidualności artystyczne. Sztuka każdego z małżonków stanowi odrębną, integralną całość — lecz ich prace często eksponowane są wspólnie, ponieważ autorzy, rzecz na-

turalna, w sposób mniej lub bardziej świadomy oddziałują na siebie.

W rodzinnym dorobku mają również udział dzieci państwa Pawlików — jedenastoletni Tomek i siedmioletnia Madzia. Dzieci projektują tkaniny, a Matka wykonuje je. Przykładem reprodukcji obok pracy „Tata, Mama, Tomek i ja”. Świeżość, skrótość, spontaniczność dziecięcego widzenia łączą się tu z kunsztem doświadczonej artystki-tkaczki.

A warunki pracy niełatwe. Władysław Pawlik zdobył sporo nagród i wyróżnień, w tym zagranicznych, ale nie zdobył jeszcze... pracowni. Czekają na niego, jak i wielu innych wybitnych artystów zakopiańskich.



Helena Sulowska-Pawlik, według rysunku Madzia Pawlik — „Tata, Mama, Tomek i ja”

Zdjęcia: WŁADYSŁAW WERNER

Zaprosili nas...

• Gminny Ośrodek Kultury w Łopusznej, Urząd Gminy w Nowym Targu i Związek Podhalań w Łopusznej — na doroczny Konkurs potraw regionalnych Kół Gospodyń Wiejskich, połączone z deklacjami kwadransów na gęsinie, klusek tarci, zacierki z tartych ziemniaków, masełka ze smarką, koloska, uszek z grzybami, bryl żyrnyk z kamienia, chleba żytniego, kapusty z gro-

chem i fasolą, krup z żeberkami, chaczki z wątróbką gęsia, karpiceli z flakami, kwasnicy z grzybami, herbaty z ziół i innych potraw.

• Wojewódzka Biblioteka Publiczna imienia Józefa Szujskiego i Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich w Nowym Sączu — na wystawę exlibrisów Tyrsusa Wenhrzynowicza.

• Dyrektor Muzeum Lenina w Poroninie na wystawę „Ludzie Podhala i Tatry i ich kontakty z Leninem”.

• Wojewódzki Ośrodek Kultury w Nowym Sączu i Gminny Ośrodek Kultury w Labowej — na popołudniową wystawę fotograficzną „Nasza ziemia i my — Labowa 80”: fotogramy eksponowane są w salach GOK w Labowej.

• Komitet Organizacyjny V Wojewódzkiego Przeglądu Zespołów Muzycznych — na występny konkursowe zespołów i solistów, które odbywają się w Domu Żołnierza w Nowym Sączu.

Do przesłuchań zgłosiły się 43 zespoły i soliści z całego województwa — zarówno rutynowani, jak i debiutanci.

• Miejska Biblioteka Publiczna w Sławnym Sączu — na pierwszą z tegorocznego cyklu imprez pod wspólną nazwą „Film i literatura”. Imprezy te mają już kilkuletnią tradycję, a składają się na nie projekcje filmów będących adaptacjami dzieł polskich pisarzy oraz spotkania z ludźmi związanymi z powstaniem danego filmu: autorami powieści, scenarzystami, badaczami twórczości pisarza, pracownikami muzeów biograficznych.